

MATHIAS MAŁZIEU

# Mechanizm serca

Z francuskiego przełożyła  
Magdalena Krzyżosiak



Świat Książki

Tytuł oryginału  
LA MÉCANIQUE DU COEUR

Redaktor prowadzący  
*Elżbieta Kobusińska*

Redakcja merytoryczna  
*Halina Ruszkiewicz*

Redakcja techniczna  
*Małgorzata Juźwik*

Korekta  
*Marianna Filipkowska*  
*Jolanta Rososińska*

Copyright © Flammarion, 2007  
All rights reserved  
Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.  
Warszawa 2010

Świat Książki  
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Druk i oprawa  
Rzeczowskie Zakłady Graficzne

ISBN 978-83-247-1413-1  
Nr 6697

*Dla Ciebie, Acacito,  
to Ty sprawiłaś, że ta książka zakiełkowała  
w moim brzuchu*

*Po pierwsze, nie dotykaj wskazówek. Po drugie, opanuj złość. Po trzecie, nigdy, przenigdy nie zakochaj się. Wtedy bowiem duża wskazówka na zawsze przebije Ci skórę, Twoje kości rozsypią się, a mechanizm serca znowu pęknie.*

# 1

16 kwietnia 1874 roku w Edynburgu pada śnieg. Nienormalny, potworny ziąb rygluje w mieście drzwi. Starzy powiadają, że być może jest to najzimniejszy dzień świata. Odnosi się wrażenie, że słońce zniknęło na zawsze. Wieje ostry wiatr, płatki śniegu są lżejsze od powietrza. BIEL, BIEL, BIEL! Wszędzie dookoła nie widać nic innego. Domy przypominają lokomotywy parowe, a szarawy dym wydobywający się z ich kominów sprawia, że niebo skrzy się stalowym blaskiem.

Edynburg i jego strome ulice ulegają metamorfozie. Fontanny jedna po drugiej przekształcają się w bukiety lodu. Stara rzeka, zwykle dostojna w swej roli, udaje jezioro z lodowego cukru, rozciągające się aż do morza. Huk fal brzmi jak odgłos tłuczonego szkła, a koty są ozdobione cekinami ze szronu. Gałęzie drzew przypominają ubrane w nocne koszule wróżki, które przeciągają się, ziewają do księżyca i patrzą na dorożki, ślizgające się po oblodzonych jezdniach.

Chłód jest tak wielki, że ptaki zamarzają w locie i rozbijają się o ziemię. Odgłos, który wydają przy upadku, brzmi niewiarygodnie delikatnie jak na odgłos śmierci.

To najzimniejszy dzień świata. I to właśnie dziś zamierzam się urodzić.

Wszystko dzieje się w starym domu na szczycie najwyższego wzgórza Edynburga – Arthur’s Seat – wulkanu ukoronowanego niebieskim kwarcem. Podobno tam spoczywają zwłoki króla Artura. Ostro zakończony dach domu jest niezwykle wysoki. Komin w kształcie rzeźnickiego noża celuje prosto w gwiazdy, przy których księżyc wygląda jak rogalik. Nie ma tu nikogo, są tylko drzewa.

W środku wszystko jest z drewna, jak gdyby dom został wyrzeźbiony w ogromnej sośnie. Można odnieść wrażenie, że wchodzi się do prowizorycznej chatki: surowe belki, okna znalezione na złomowisku pociągów, stół zmajstrowany z pniaka. Niezliczone wełniane poduszki wypełnione zwiędłymi liśćmi tworzą atmosferę gniazda. W tym domu odbywa się wiele potajemnych porodów.

To właśnie tutaj mieszka akuszerka Doktor Madeleine, którą wszyscy mieszkańcy miasteczka uważają za wariatkę. Jak na starszą panią jest całkiem ładna. W jej spojrzeniu dostrzega się iskrę szczerości, ale w uśmiechu wyczuwa się fałsz.

Doktor Madeleine odbiera porody prostytutek, kobiet porzuconych, zbyt młodych lub niewiernych, aby mogły urodzić w normalnych warunkach. Poza tym uwielbia naprawiać ludzi. Jest specjalistką od protez mechanicznych, szklanych

oczu, drewnianych nóg... W jej pracowni można znaleźć wszystko.

Pod koniec XIX wieku niewiele trzeba, aby być posądzonym o czary. W mieście mówi się, że zabija noworodki, których widma stają się jej niewolnikami, i że sypia z różnymi ptakami, żeby począć potwory.

Moja bardzo młoda matka z roztargnieniem obserwuje opadające za oknem płatki śniegu. Patrzy, jak ptaki cichutko rozbijają sobie dzioby o szyby, kiedy nagle pojawiają się skurcze. Przypomina dziecko, które udaje, że jest w ciąży. Przepelnia ją melancholia, bo wie, że mnie przy sobie nie zatrzyma. Ma jedynie odwagę spojrzeć na swój brzuch, który niemalże pęka. Kiedy moje przybycie staje się coraz bardziej nagłe, przemyka powieki. Jej skóra zlewa się z prześcieradłem, jak gdyby łóżko ją pochłaniało, jak gdyby się w nim rozplywała.

Kiedy wspinała się po zboczach wzgórza, aby tu dotrzeć, płakała. Jej zamarzające łzy odbijały się od ziemi niczym perły z pękniętego naszyjnika. W miarę jak szła, pod jej stopami tworzył się połyskujący dywan z kuleczek. Było ślisko, ale starała się posuwać naprzód. Rytm jej kroków stawał się coraz szybszy. Nagle potknęła się, zachwiała i upadła na brzuch. Rozległ się dźwięk przypominający trzask rozbijanej skarbonki.

Pierwszą osobą, którą zauważam, jest Doktor Madeleine. Jej dłonie ujmują moją głowę w kształcie oliwki – miniaturowej piłki do rugby – potem mnie przytula.

Moja matka woli odwrócić wzrok. Jej powieki wyraźnie nie chcą się otworzyć. „Otwórz oczy! Spójrz na ten maleńki płatek, który powiłaś!” – słyszy.

Madeleine mówi, że przypominam białego ptaszka o wielkich stopach. Moja matka odpowiada, że skoro na mnie nie patrzy, to znaczy, że nie chce, by Madeleine mnie opisywała.

– Nie chcę nic widzieć ani wiedzieć!

Nagle lekarka dostrzega coś niepokojącego. Nie przestaje dotykać mojego miniaturowego torsu. Uśmiech znika z jej twarzy.

– Jego serce jest bardzo twarde, myślę, że zamarzło.

– Proszę sobie wyobrazić, że moje też. To chyba jasne.

– Ale jego serce naprawdę zamarzło!

Potrząsa mną z góry na dół, a dźwięk podobny jest do tego, kiedy grzebie się w skrzynce na narzędzia.

Doktor Madeleine zastanawia się nad planem działania. Moja matka siedzi na łóżku i czeka. Drży, ale tym razem nie z zimna. Wygląda jak lalka, która uciekła ze sklepu z zabawkami.

Na zewnątrz śnieg sypie coraz mocniej. Posrebrzany bluszcz pnie się po dachach. Półprzezroczyste róże pochylają się w stronę okien, ozdabiając przepysznie aleje. Koty zamieniają się w gargulce z wtopionymi w rynny pazurami.

W rzece pyszczki zamrożonych znieca ryb wykrzywiają się w grymasie. Całe miasteczko znajduje się we władaniu podmuchu mrozu, który ziejże gryzącym w oczy chło-



dem. Odważni, którzy z rzadka wychodzą na zewnątrz, zatrzymują się sparaliżowani, jak gdyby jakiś bóg chciał właśnie zrobić im zdjęcie. Niektórzy z nich, porwani w pędzie, ślizgają się i zastygają ostatecznie w pozie przypominającej figurę baletową. Są prawie piękni, każdy w swoim stylu, niczym koślawe anioły z szarfami zatkniętymi w niebie, baletnice z pozytywki zastygające w rytmie ostatniego oddechu.

Wszędzie zamarznięci lub dopiero zamarzający przechodnie nadziewają się na rosaria fontann. Tylko zegary jak gdyby nigdy nic nie przestają bić i napędzają serce miasta.

„Przecież ostrzegano mnie, żebym nie wchodziła na szczyt Arthur's Seat. Mówiono mi przecież, że ta kobieta to wariatka” – myśli moja matka. Biedaczka wygląda, jakby zamarzła na śmierć. Nawet jeśli lekarce uda się naprawić moje serce, to ona ze swoim będzie miała nie mniej roboty... Tymczasem ja, całkiem nagi, leżę na stole z klatką piersiową w metalowym imadle i naprawdę zaczynam stygnąć.

Bardzo stary kot, czarny niczym posłaniec hotelowy, usadowił się na stole kuchennym. Doktor Madeleine zrobiła mu okulary z szykownymi, zielonymi, dobranymi pod kolor oczu oprawkami. Zblazowany, przygląda się całej scenie. Brakuje mu tylko gazety ekonomicznej i cygara.

Doktor Madeleine zaczyna przeglądać półkę z zegarami. Zdejmuje z niej różne modele: poważne kanciaste, zaokrąglone, drewniane, metalowe, pretensjonalne aż po czubki wskazówek. Jednym uchem słucha bicia mojego uszkodzonego serca, drugim tykania zegarów. Marszczy brwi niez-

dowolona. Jest trochę jak nieznośna staruszka, której potrzeba kwadransa na wybranie pomidora na targu. Po chwili nagle jej spojrzenie rozjaśnia się. „Ten!” – wykrzykuje, dotykając koniuszkiem palców zębatych kół starego zegara z kukułką.

Zegar ma jakieś cztery na osiem centymetrów, oprócz mechanizmu, tarczy i wskazówek zrobiony został z drewna. Wykończony w wiejskim stylu, „solidny” – myśli na głos lekarka. Kukułka wielkości paliczka mojego małego palca jest czerwona i ma czarne oczy. Stałe otwarty dziób sprawia, że wygląda jak martwa.

– Dzięki temu zegarowi będziesz miał dobre serce! Będzie pasował do twojej ptasiej główki – zwraca się do mnie Doktor Madeleine.

Niezbyt podoba mi się pomysł z tą kukułką, ale nie będę się sprzeczał – w końcu próbuje uratować mi życie.

Doktor Madeleine wkłada biały fartuch, teraz pewnie zabierze się do gotowania. Czuję się jak grillowany kurczak, którego zapomniano wcześniej zabić. Grzebie w naczyniu przypominającym salaterkę, wyciąga okulary spawacza, a twarz zakrywa chustką. Już się nie uśmiecha. Pochyliła się nade mną i każe mi wdychać eter. Moje powieki zamykają się lekko jak żaluzje w letni wieczór gdzieś daleko stąd. Już nie chce mi się krzyżeć. Patrzę na nią, a tymczasem pomału ogarnia mnie sen. Wszystko się w niej zaokrągla: oczy, pomarszczona skóra na kościach policzkowych przypominających renety, biust. Jest stworzona, żeby się w nią wtulić. Mam ochotę udawać, że jestem głodny, mimo że wcale tak nie jest, żeby tylko móc zatopić się w jej piersi.

Madeleine rozcina skórę na moim torsie za pomocą du-

żych ząbkowanych nożyc. Ich ząbki trochę mnie łaskoczą. Wsuwa mi mały zegar pod skórę i zaczyna łączyć mechanizm z tętnicami serca. Musi robić to delikatnie, aby niczego nie popsuć. Używa stalowej, bardzo cienkiej nici, którą zawiązuje w tuzin maleńkich supełków. Moje serce bije od czasu do czasu, ale ilość pompowanej do tętnic krwi jest niewielka. „Ależ on blady!” – mówi przyciszonym głosem.

Nadchodzi chwila prawdy. Doktor Madeleine ustawia zegar dokładnie na dwunastą w nocy... Nic się nie dzieje. Mechanizm wydaje się nie dość mocny, aby napędzić serce, które już od dłuższej chwili niebezpiecznie przestało bić. Kręci mi się w głowie, czuję się jak w wyczerpującym śnie. Lekarka lekko naciska zębatki, żeby wprowadzić je w ruch. Zegar robi „tik-tak”. „Bum, bum” – odpowiada serce i tętnice zabarwiają się na czerwono. Pomału rytm uderzeń przyspiesza. Tik-tak. Bum, bum. Tik-tak. Bum, bum. Moje serce bije już z prawie normalną prędkością. Doktor Madeleine odsuwa spokojnie palce od zębatek. Zegar zwalnia. Ponownie wprowadza maszynę w ruch, ale kiedy odsuwa palce, bicie serca zanika. Wygląda to tak, jakby głąskała bombę, zastanawiając się, kiedy wybuchnie.

Tik-tak. Bum, bum. Tik-tak. Bum, bum.

Pierwsze wiązki światła odbijają się od śniegu i wciskają przez okiennice. Doktor Madeleine jest wyczerpana, a ja zasnąłem. A może umarłem...? Moje serce nie pracuje już zbyt długo.

Nagle niespodziewanie w mojej klatce piersiowej rozlega się głośny śpiew kukułki. Zaskoczony, zaczynam kaszleć.

Szeroko otwartymi oczami zauważam Doktor Madeleine z podniesionymi w górę rękoma, zupełnie jakby strzeliła karniaka w finale mistrzostw świata.

Po chwili, niczym dobry krawiec, zaczyna zszywać mi klatkę piersiową. Nie można powiedzieć, że jestem popsuty, ale moja skóra wygląda, jakby była stara, pomarszczona stylowo jak u Charlesa Bronsona. Na tarczy mam ogromny opatrunek.

Każdego ranka trzeba mnie będzie od nowa nakręcać za pomocą klucza. Bez tego mógłbym zasnąć na zawsze.

Moja matka mówi, że przypominam płatek z wystającymi wskazówkami, a Madeleine odpowiada, że to dobry sposób na odnalezienie mnie w czasie burzy śnieżnej.

Jest południe. Doktor Madeleine z tym swoim ciepłym uśmiechem, który pojawia się w samym środku katastrofy, odprowadza moją matkę do drzwi. Dziewczyna posuwa się naprzód powoli. Kąciki jej ust drżą.

Oddała się niczym melancholijna starsza pani w ciele nastolatki.

Stapia się z mgłą, staje się porcelanowym duchem. Od tego dziwnego i pełnego cudów dnia nie zobaczyłem jej już nigdy.

## 2

Madeleine każdego dnia kogoś przyjmuje. Pacjenci, którzy nie mają środków, żeby zwrócić się do dyplomowanego lekarza, kiedy coś sobie złamają, zawsze lądują tutaj – niezależnie od tego, czy trzeba wyregulować mechanizm, czy poświęcić chwilę na rozmowę, bo lekarka lubi naprawiać też ludzkie serca. Czuję się całkiem normalnie z moim zegarem, gdy w pewnej chwili słyszę pacjenta skarżącego się na rdzewiejący kręgosłup.

To przecież metal! To normalne!

Tak, ale skrzypi, kiedy ruszam ramieniem!

Już panu przepisałam parasol. Wiem, że trudno go dostać w aptece, więc tym razem pożyczę panu mój, ale do następnego spotkania proszę spróbować znaleźć sobie jakiś.

Bywam też świadkiem odwiedzin młodych, dobrze ubranych par, które wspinają się na wzgórze, żeby zaadoptować dzieci, których sami nie mogą mieć. Wygląda to trochę jak wizyta w sklepie. Madeleine wybiera dziecko, które nigdy

nie płacze, nie za dużo je i jest czyste. Na kanapie czekam na swoją kolej. Jestem najmniejszym dostępnym modelem. Można by mnie niemalże schować w pudełku po butach. Kiedy uwaga koncentruje się na mnie, zawsze zaczyna się od fałszywych uśmiezków wzruszenia. Wszystko kończy się w momencie, gdy jedno z przyszłych rodziców pyta: „Skąd dochodzi to tykanie?”.

Wówczas lekarka sadza mnie na kolanach i pokazuje mój opatrunek. Niektórzy krzyczą, inni z grymasem na twarzy mówią:

– O mój Boże! A co to jest to coś?

– Gdyby nie interwencja boska, nie rozmawialibyśmy tu o tym teraz. To „coś”, jak to państwo nazwali, to zegar, który pozwala sercu tego dziecka bić normalnie – odpowiada sucho.

Lekko skonsternowane młode pary odchodzą, żeby naradzić się w pokoju obok, ale decyzja jest zawsze taka sama:

– Nie, dziękujemy. Czy możemy zobaczyć inne dzieci?

– Tak, proszę za mną. Mam dwie dziewczynki, które urodziły się w okolicy Bożego Narodzenia – mówi Madeleine z fałszywą wesołością w głosie.

Na początku nie zdawałem sobie za bardzo sprawy z tego, co się dzieje. Byłem za mały; jednak w miarę dorastania bycie swego rodzaju nikomu niepotrzebnym bękartem stało się denerwujące. Zastanawiam się, dlaczego zwykły zegar może do tego stopnia zniechęcać ludzi. Przecież to tylko drewno!

Dziś, kiedy po raz enty oblałem test na adopcję, pozna-

lem lepiej pacjenta, który regularnie odwiedza Doktor Madeleine. Arthur to były funkcjonariusz policji, który skończył jako kłozard i alkoholik. Cały pomięty, poczynając od ubrania, a kończąc na powiekach, dość wysoki, a byłby jeszcze wyższy, gdyby trzymał się prosto. Zazwyczaj nigdy się do mnie nie odzywa. Co dziwne, nawet lubię to, w jaki sposób się do siebie nie odzywamy. Jest coś uspokajającego w sposobie, w jaki przechodzi przez kuchnię, utykając, z półuśmiechem i charakterystycznym gestem dłoni.

Kiedy w przyległym pokoju Madeleine poświęca czas dobrze ubranym parom, Arthur się zatacza. Jego kręgosłup skrzypi jak brama więzienna. W końcu wyrzuca z siebie słowa:

Nie bój się, mały! Wiesz, wszystko w życiu kiedyś mija. Zawsze się zdrowieje, nawet jeśli potrzeba na to dużo czasu. Kilka tygodni przed najzimniejszym dniem świata straciłem pracę i żona wyrzuciła mnie za drzwi. A ja dla niej zgodziłem się wrócić do policji! Marzyłem, żeby zostać muzykiem, ale okrutnie brakowało nam pieniędzy.

Co się stało, że policja już cię nie chciała?

Trudno pozbyć się nawyków! Wyśpiewywałem zeznania, żeby móc je w ogóle przeczytać. Spędzałem więcej czasu nad klawiaturą mojej harmonii niż maszyny do pisania w komisariacie. Potem piłem trochę whisky, ale tylko tyle, ile potrzeba, żeby ustawić głos... Ale oni... Oni kompletnie nie znali się na muzyce, rozumiesz? Skończyło się tym, że zażądali mojego odejścia. A ja nie umiałem wytłumaczyć żonie, dlaczego tak się stało. Resztę znasz... To, co mi zostało, wydałem na skrzynkę whisky i, no wiesz, to uratowało mi życie.

Uwielbiam sposób, w jaki mówi „no wiesz”. Przybrał uroczysty ton, żeby mi wytłumaczyć, że whisky „uratowała mu życie”.

– Tego słynnego szesnastego kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego czwartego roku z zimna pękł mi kręgosłup i tylko ciepło alkoholu, którego niekiedy łyknę od czasu tych smutnych wydarzeń, nie pozwoliło mi całkowicie zamarznąć. Jestem jedynym kloszardem, który się ostał. Wszyscy moi kumple umarli z zimna.

Odchyła płaszcz i prosi, żebym spojrzał na jego plecy. Czuję się trochę niezręcznie, ale nie mam odwagi mu odmówić.

– Żeby zreperować pękniętą część, Doktor Madeleine wszczepiła mi kawałek grającego kręgosłupa i przyczepiła do niego kości. Kiedy uderzam w niego młotkiem, mogę zagrać melodię. Brzmi świetnie, ale chodzę lekko pochylony na bok. Dawaj, spróbuj coś zagrać – mówi do mnie, podając mały młotek.

– Nie umiem niczego grać!

– Czekaj, czekaj, pośpiewamy, uda się, zobaczysz.

Zaczyna śpiewać *Oh When the Saints*, akompaniując sobie na swoim kręgosłupofonie. Jego głos jest taki kojący. Jak stary dobry ogień w kominku w zimowy wieczór.

Wychodząc, otwiera swoją żebraczą torbę wypełnioną kurzymi jajkami.

– Po co wleciesz ze sobą te wszystkie jajka?

– Bo są pełne wspomnień... Moja żona gotowała je cudownie. Kiedy sam je sobie gotuję, mam wrażenie, że znowu jestem z nią.

– Udaje ci się ugotować je tak dobrze jak jej?



Nie, wychodzą mi zawsze śmierdzące, ale to budzi jeszcze żywsze wspomnienia. Weź sobie jedno, jeśli chcesz.

Nie chcę, żeby zabrakło ci choćby jednego wspomnienia.

Nie martw się o mnie. Mam ich chyba nawet za dużo. Jeszcze tego nie wiesz, ale któregoś dnia będziesz szczęśliwy, mogąc otworzyć swoją torbę i znaleźć tam wspomnienie z dzieciństwa.

Na razie wiem, że kiedy rozlegną się choćby najcichsze dźwięki *Oh When the Saints*, mgły moich zmartwień rozprzną się na kilka godzin.

Od czasu moich piątych urodzin lekarka przestaje pokazywać mi swoim klientom. Stawiam sobie coraz więcej pytań, a potrzeba znalezienia odpowiedzi wzrasta z każdym dniem.

Również pragnienie „odkrycia parteru góry” staje się obnawiające. Kiedy wspinam się na dach domu, sam pośród noce, dochodzą mnie stamtąd tajemnicze pomruki. Światło księżycowe nadaje słodką aurę ulicom w sercu miasta, a ja marzę, żeby jej zakosztować.

Mudlecinie nie przestaje mi powtarzać, że czas zmierzchnięcia się z rzeczywistością miasta i tak nadejdzie wystarczająco szybko.

Nie powinieneś ulegać emocjom. Wiesz przecież, że każde uderzenie twojego serca to cud. To bardzo delikatna robota ten mechanizm. W miarę jak będziesz rósł, powinien stać się coraz mocniejszy, ale musisz być cierpliwy.

He okrażać małej wskazówki to zajmie?

– Trochę... trochę. Chciałabym, żeby twoje serce jeszcze się wzmocniło, zanim wypuszczę cię z domu.

Muszę przyznać, mój zegar sprawia mi trochę problemów. To najwrażliwsza część mojego ciała. Nie pozwalam go dotykać nikomu prócz Madeleine. To właśnie ona za pomocą małego klucza nakręca mnie każdego ranka. Kiedy zmarzę, napady kaszlu sprawiają, że bolą mnie zębatki. Czuję to tak, jakby chciały przebić mi skórę. Nie cierpię dźwięku tłuczonych naczyń, który się wtedy z nich wydobywa.

Największym zmartwieniem jest jednak upływ czasu. Kiedy nadchodzi wieczór, tykanie rozlegające się w całym moim ciele przeszkadza mi w zaśnięciu. Niekiedy wczesnym popołudniem padam ze zmęczenia, po czym w środku nocy jestem w świetnej formie. Nie jestem ani chomikiem, ani wampirem – po prostu nie mogę spać.

Jednakże, jak wielu ludziom cierpiącym na jakąś chorobę, zdarzają mi się też przyjemne momenty. Lubię te cenne chwile, kiedy Madeleine w koszuli nocnej niczym duch wślizguje się do mojego pokoju, żeby utulić mnie do snu, ukotłosać albo przynieść filiżankę gorącej czekolady. Zdarza się, że śpiewa mi cichutko aż do świtu, głosząc zębatki koniuszkiem palców. To takie przyjemne. *Love is dangerous for your tiny heart* – powtarza jakby w transie. Można odnieść wrażenie, że wymawia zaklęcia ze starej księgi magicznej, żebym mógł zasnąć. Lubię słuchać jej głosu rozbrzmiewającego pod niebem usianym gwiazdami, mimo że sposób, w jaki mnie zapewnia, że *love is dangerous for your tiny heart*, wydaje mi się trochę dziwny.

W dniu moich dziesiątych urodzin Doktor Madeleine w końcu zgadza się zabrać mnie do miasta. Prosiłem ją o to już od tak dawna... Tymczasem ona robi wszystko, żeby oddalić ten moment. Przesławia przedmioty, chodzi z pokoju do pokoju.

Kiedy drżąc z niecierpliwości, podążam za nią do piwnicy, odkrywam półkę całą zastawioną słojami. Niektóre mają etykiety „łyż 1850–1857”, inne są wypełnione „jabłkami z ogrodu”.

Czyje są te wszystkie łyży? – pytam.

Moje. Gdy płaczę, zbieram je do naczynia i przechowuję w tej piwnicy, żeby robić z nich mikstury.

Jak to możliwe, że jest ich aż tyle?

W młodości embrion pomylił drogę do mojej macicy i zagnieździł się w jajowodzie, powodując krwotok wewnętrzny. Odtąd nie mogę mieć dzieci. Choć jestem niezadowolona, że mogę pomóc urodzić się dzieciom innych kobiet, dużo przepłakałam. Ale od kiedy pojawiłeś się ty, jest lepiej...

Wstydzę się, że ją o to zapytałam.

Pewnego dnia wypełnionego nieprzerwanym szlochem zauważyłam, że picie łyż przynosi ulgę, szczególnie gdy miesza się je z odrobiną alkoholu z jabłek. Jednak nie wolno tego robić, gdy jest się w normalnym stanie. W przeciwnym razie nigdy już nie będzie się bez tego szczęśliwym. To błędne koło – nie przestaje się płakać, żeby móc pić swoje łyży.

Spędzasz czas na naprawianiu ludzi, a sama topisz smutki w trunku z własnych łyż, dlaczego?

Nie martw się tym wszystkim. Myślę, że dziś powin-

niemy zejść do miasta. Mamy do uczczenia pewną rocznicę, czyż nie? – mówi z wymuszonym uśmiechem.

Historia z łzami Doktor Madeleine wprawiła mnie w zakłopotanie i nawet zejście do miasta nie budziło zachwytu. Jednak kiedy ujrzałem Edynburg, realizujące się marzenia wzięły górę.

Czuję się jak Krzysztof Kolumb odkrywający Amerykę! Labirynt krętych uliczek przyciąga mnie jak magnes. Domy, które jakby pochylają się ku sobie, zawężają niebo. Biegnę! Mam wrażenie, że najmniejszy podmuch może sprawić, iż miasto zawali się jak domek z kart. Biegnę! Drzewa zostały na szczycie wzgórza, ale za to zewsząd wyrastają ludzie. Kobiety w kapeluszach i sukniach jak maki wyglądają jak bukiety! Balkony rozciągają się wzdłuż okien aż do targu, który ubarwia plac St Salisbury.

Wpadam tam, słysząc stukot drewniaków po chodniku, mieszające się głosy porywają mnie. One i ogromny zegar, który bije, wyposażony w serce dziesięć razy większe od mojego.

– To mój ojciec?

– Nie, nie, to nie twój ojciec... To znak, że już pierwsza po południu. Ten zegar bije tylko raz na dzień – odpowiada Madeleine, z trudem łapiąc oddech.

Przechodzimy przez plac. Zza zakrętu dobiega jakaś muzyka, tak samo prześmiewcza i melancholijna jak towarzyszące jej iskierki. Melodia przejmuje mnie do głębi, czuję, jakby we mnie padał deszcz i jednocześnie świeciło słońce.

To katarynka, ładna, prawda? – mówi Madeleine. – Ten instrument działa trochę jak twoje serce, dlatego pewnie tak bardzo ci się podoba. To mechanizm, który w środku ukrywa emocje.

Zdawało mi się, że właśnie usłyszałem najcudowniejszy dźwięk w życiu, ale to nie był jeszcze koniec zadziwiających niespodzianek. Maluteńka dziewczynka, wyglądająca jak drzewo obsypane kwiatami, wychodzi przed instrument i zaczyna śpiewać. Jej głos przypomina śpiew słowika, tyle że piosenka ma słowa.

*Okulary zapodziałam, tak naprawdę to nosić ich nie chciałam, przez nie dziwnie wyglądałam, rozpaloną głowę miałam... gdy je na nos zakładałam.*

Jej ramiona przypominają gałązki, czarne kręcone włosy ocieniają twarz. Nos ma tak kształtny, a zarazem tak malutki, że zastanawiam się, jak w ogóle może oddychać. Moim zdaniem służy on tylko do ozdoby. Dziewczynka tańczy jak ptuszek, łapiąc równowagę na wysokich obcasach. Oczy ma ogromne. Można spędzić dużo czasu na próbach zajrzenia w ich głąb. Łatwo z nich wyczytać wielką stanowczość. Głowę trzyma wysoko niczym miniaturowa tancerka flamenco. Piersi wyglądają jak malutkie bezy, upieczone tak wyśmienicie, że byłoby nietaktem nie schrupać ich natychmiast.

*Nie dbam o to, że widzę niewyraźnie, kiedy całuję i tańczę, oczy mam zamknięte właśnie.*

Ogarnia mnie ciepło. Karuzela, na której znajduje się mulla śpiewaczka, przeraża mnie, ale umieram z pragnienia, żeby na nią wsiąść. Zapach kurzu i brody jej ojca sprawia, że zasycha mi w gardle. Nie wiem, jak działa ta różowa rakietka, ale muszę dostać się do środka.

Nagle sam zaczynam śpiewać, zupełnie jak w musicalu. Madeleine patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: nie dotykaj kuchenki!

– *Och, mój maleńki pożarze, by podrzeć twe ubranie, marzę, rozszarpać je zębami, aż z niego deszcz konfetti powstanie na wieczne ciebie całowanie. Czy dobrze usłyszałem „konfetti”?*

Madeleine omal nie zabija mnie spojrzeniem.

– *Widzę tylko ogień, robiąc kilka kroków, mogę zagubić się w mroku, nie mam już odwagi spojrzeć niebu w oczy, widzę tylko ogień, który mnie zamroczy.*

– *Zaprowadzę cię wszędzie, ja twoimi okularami, a ty moim światełkiem będziesz.*

– *Coś ci powiem między nami, choć cię słyszę, nie poznaję nawet między staruszkami.*

– *Otrzymamy się o swoje dusze, aż z ognia popiół nasze szkielety przyprószy, gdy zegar mego serca dwunastą pokaże, zatracimy się ślepo w cudownym pożarze.*

– *Że pożar mam w głowie, sprawę sobie zdaję, lecz kiedy moja muzyka ustaje, rozpalona jak zapałka, z płonącymi powiekami, nie chcę patrzeć na świat skryta za okularami.*

Podczas gdy nasze głosy rozbrzmiewają harmonijnie, nagle jej lewy obcas trafia w szczelinę chodnika, dziewczynka chwije się jak dziecięcy bączek pod koniec swojego popisu i pada na pokrytą lodem ulicę. Wypadek zabawny, ale poważny. Krew spływa na jej suknię z ptasich piór, przez co wygląda jak rozjechana mewa. Ale nawet taka rozciągnięta na ziemi wydaje mi się piękna. Z trudem wkłada okulary z połamanymi zausznikami. Idzie niezdarnie jak

lunatyczka. Matka trzyma ją mocno za rękę, właściwie prowadzi ją.

Próbuję coś do niej powiedzieć, ale słowa więzną mi w gardle. Zastanawiam się, jak oczy tak cudowne i niezwykle mogą działać do tego stopnia źle, że dziewczynka o wszystko się obija.

Jej matka i Doktor Madeleine zamieniają kilka słów, jak właścicielki psów, które właśnie się pogryzły.

Moje serce przyspiesza jeszcze bardziej, trudno mi odysknąć oddech. Mam wrażenie, że zegar puchnie i podchodzi mi do gardła. Czy ona wyszła z jajka? Czy można ją zjeść? Czy ona jest z czekolady? O co, do diabła, w tym wszystkim chodzi?

Próbuję zająrzeć jej w oczy, ale moje oczy zostały całkowicie pochłonięte przez jej niezwykle usta. Nie myślałem, że można tyle czasu obserwować usta.

Nagle kukułka w moim sercu zaczyna głośno śpiewać. Znacznie głośniejsze niż wtedy, kiedy przeżywam załamanie. Czuję, jak zębátky kręcą się z maksymalną prędkością, jakbym połknął helikopter. Od tych kurantów pękają mi bębentki, zatykam uszy, ale oczywiście jest tylko gorzej. Wskazówki rozrywają mi gardło. Doktor Madeleine próbuje mnie uspokoić delikatnymi gestami, jakby chciała złapać przerażonego kanarka. Jest mi przeraźliwie gorąco.

Wolałbym wyglądać jak orzeł królewski albo dostojna spokojna mewa, a tymczasem wyglądam jak zestresowany, niepewny w podskokach kanarek. Mam nadzieję, że mała śpiewniczka mnie nie zauważyła. Słysząc głucho tykanie, oczy otwierają mi się szeroko, staję twarzą w twarz z błękitem

nieba. Żelazny uścisk Doktor Madeleine chwytą mnie za ramię i podnosi z ziemi.

– Wracamy natychmiast! Napędziłeś wszystkim stracha! Wszystkim!

Wydaje się wściekła i zaniepokojona zarazem. Jest mi wstyd. Równocześnie przywołuję obraz tej maleńkiej dziewczynki, która śpiewa bez okularów i patrzy prosto w słońce. Niepostrzeżenie zakochuję się. Czuję to w środku – to najgorętszy dzień w dziejach świata.

Po kwadransie naprawiania i po świetnym makaronie na mleku wracam do swojego normalnego stanu.

Twarz Madeleine jest ściągnięta, jak wtedy, gdy długo śpiewa, żeby mnie uspić, ale tym razem maluje się na niej zmartwienie.

– Twoje serce to tylko proteza, jest o wiele bardziej wrażliwe niż normalne i zawsze tak będzie. Mechanizm nie łagodzi tak emocji jak tkanki. Naprawdę musisz być bardzo ostrożny. To, co wydarzyło się w mieście, gdy zobaczyłeś tę małą śpiewaczkę, potwierdza moje obawy – miłość jest dla ciebie zbyt niebezpieczna.

– Z zachwytem przyglądałem się jej wargom.

– Nie mów tak!

– Jej dołeczki tak różnie się układają, a uśmiech jeszcze mnoży kombinacje, i to sprawia, że mam ochotę długo, długo na nią patrzeć.

– Z niczego nie zdajesz sobie sprawy, dla ciebie to jak zabawa. Ale to igranie z ogniem, niebezpieczna zabawa, szczególnie gdy ma się serce z drewna. Bolać cię zębatki, kiedy kaszlesz, czyż nie?



– Tak.

– Widzisz, a to nic nieznaczący ból w porównaniu z tym, który może sprawić miłość. Cała przyjemność i radość, które daje miłość, muszą któregoś dnia odbić się cierpieniem. A im mocniej się kocha, tym ból będzie silniejszy. Doświadczysz pustki, potem udreki zazdrości, niezrozumienia, poczucia odrzucenia i niesprawiedliwości. Doznasz chłodu aż w kościach, a krew zamieni się w kostki lodu, które poczujesz pod skórą. Zegar twojego serca rozpadnie się. Sama zrobiłam go dla ciebie i doskonale znam granice jego wytrzymałości. Być może wytrzyma obciążenie, jakim jest przyjemność, a nawet więcej. Ale nie jest dość solidny, aby znieść zawód miłosny.

Madeleine uśmiecha się smutno – jak zwykle ta sama fałszywa mina, ale tym razem pozbawiona złości.

### 3

Tajemnica, która otacza małą śpiewaczkę, wprawia mnie w dobry nastrój. W wyobraźni widzę jej długie rzęsy, dołeczki, kształtny nosek i kontur ust. Pielęgnuję jej wspomnienie, jak pielęgnuje się delikatny kwiat. Zabiera mi to całe dnie.

Myślę tylko o jednym – jak ją odnaleźć. Przeżyć jeszcze raz to niewypowiedziane doznanie, najszybciej jak to możliwe. Czy od tego nosem wylecą mi ptaszki? Trzeba mi będzie często naprawiać serce. I co z tego? Przecież to dziadostwo i tak trzeba reperować, od kiedy się urodziłem. Grozi mi śmierć? Tak, ale jeśli jej znów nie zobaczę, życie też będzie zagrożeniem, a w moim wieku to naprawdę nie żart.

Już teraz lepiej rozumiem, dlaczego mojej lekarce tak bardzo zależało na opóźnieniu momentu mojego wkroczenia w świat. Jeśli nie pozna się smaku poziomek z cukrem, nie prosi się o nie każdego dnia.

Zdarzają się też noce, kiedy mała śpiewaczka nawiedza moje sny. Tej nocy ma dwa centymetry, wchodzi do dziurki

w moim sercu i siada okrakiem na małej wskazówce. Patrzy na mnie tymi swoimi oczami dystygowanej łani. Nawet jeśli to tylko sen, to i tak wywiera na mnie ogromne wrażenie. Potem liże wskazówkę minut, jakby była pszczołą zbierającą ze mnie pyłek. Coś w mechanizmie zaczyna się poruszać i nie jestem pewien, czy chodzi tylko o moje serce... KLIK KLOK DONG! KLIK KLOK DING! Przekłęta kukułka! Budzę się gwałtownie.

*Love is dangerous for your tiny heart even in your dreams, so please dream softly* – uprzedza mnie Madeleine. – Teraz śpij...

Jakby to było proste z takim sercem!

Następnego dnia budzi mnie odgłos uderzeń młotka. Stojąc na krześle, Madeleine wbija gwóźdź nad moim łóżkiem. Wygląda bardzo stanowczo, w zębach trzyma tabliczkę. To okropnie nieprzyjemne, jakby gwóźdź wbijał się dokładnie w moją czaszkę. Następnie wieszta tabliczkę, na której widnieje złowieszczy napis:

*Po pierwsze, nie dotykaj wskazówek. Po drugie, opanuj złość. Po trzecie, nigdy, przenigdy nie zakochaj się. Wtedy bowiem duża wskazówka na zawsze przebije Ci skórę, Twoje kości rozsypią się, a mechanizm serca znowu pęknie.*

Jestem przerażony. Nie muszę nawet czytać napisu, znam go na pamięć. Między moje zębatki wdziera się powiew grozy.

To nic, że zegar jest delikatny, mała śpiewaczka już się

w nim rozgościła. Rozstawiła wszędzie walizki z imadłami, a mimo to nie pamiętam, kiedy czułem się tak lekki. Zupełnie jak wtedy, zanim ją poznałem.

Za wszelką cenę muszę wymyślić sposób, żeby ją odnaleźć. Jak się nazywa? Gdzie ją ponownie zobaczę? Wiem jedynie, że jej wzrok nie jest zbyt dobry i że śpiewa jak ptak, a jej piosenki mają słowa. Nic więcej.

Próbuję dyskretnie podpytywać o nią młode pary, które przychodzą do Madeleine, żeby zaadoptować dzieci. Nikt mi nie odpowiada. Próbuję szczęścia u Arthura. „Słyszałem ją kiedyś w mieście, ale od dawna już jej nie widziałem”. Może dziewczyny będą bardziej skłonne dać mi jakąś wskazówkę.

Anna i Luna są prostytutkami, które zjawiają się u nas zawsze w okresie świąt Bożego Narodzenia, spuszczać wzrok na swoje zaokrąglone brzuchy. W sposobie, w jaki mi odpowiadają: – „Nie, nie, nic nie wiemy, nic nie wiemy... nic nie wiemy, Anno...? Prawda, że nic nie wiemy?” – wyczuwam, że to właściwy trop.

Wyglądają jak podstarzałe nastolatki. W zasadzie nimi są – dwie trzydziestoletnie panienki w obcisłych strojach w lamparcie cętki. Nawet kiedy nie palą, ich ubrania mają zawsze dziwny zapach ziół prowansalskich. Papierosy otaczają je mglistą aurą i chyba łaskoczą je w mózgi, bo bardzo się po nich śmieją. Ulubiona zabawa dziewczyn polega na uczeniu mnie nowych słów. Nigdy nie zdradzają mi ich znaczenia, ale bardzo się starają, abym poprawnie je wymawiał. Z tych wszystkich wspaniałych słów, których mnie uczą,

moim ulubionym jest „cunnilingus”. Wyobrażam sobie antycznego rzymskiego bohatera Cunnilingusa. Powtarzam kilka razy Cu-ni-lin-guss, Cunnilingus, Cunnilingus. Co za fantastyczne słowo!

Anna i Luna nigdy nie przychodzą z pustymi rękami. Zawsze jakiś bukiet kwiatów rąbnięty z cmentarza albo płaszcz klienta zmarłego podczas aktu. Na urodziny przyniosły mi chomika. Nazwałem go Cunnilingus. Miały trochę niewyraźną minę, kiedy usłyszały, że właśnie tak chcę go nazwać. „Cunnilingus, moja miłość!”. – Luna mruczy tak zawsze, gdy stuka koniuszkiem pomalowanego paznokcia o pręty jego klatki.

Anna o tęczowym spojrzaniu jest jak duża zwiędła róża. Kiedy klient odmawiający zapłaty wybił jej lewe oko, Madeleine wstawiła jej kwarc, który zmienia kolor w zależności od pogody. Mówi bardzo szybko, jakby bała się ciszy. Jak tylko zaczynam pytać o małą śpiewaczkę, odpowiada, że nigdy o niej nie słyszała. Gdy to mówi, słowa wylewają się z niej jeszcze szybciej niż zazwyczaj. Czuję, że aż się pali, żeby wyjawić mi jakiś sekret. Przy okazji zadaję jej ogólne pytania na temat miłości. Cicho, bo nie chcę, żeby Madeleine się wtrącała.

– No wiesz, od dawna pracuję „w miłości”. Nie zawsze coś dostaję, ale sam fakt dawania sprawia, że jestem szczęśliwa... czasami. Nie jestem zbyt profesjonalna. Zakochuję się, jak tylko klient zaczyna przychodzić regularnie, i wtedy nie przyjmuję od niego pieniędzy. Potem przez pewien czas odwiedzają mnie codziennie, często z prezentami, ale w końcu to ich męczy. Wiem, że nie powinnam dawać się ponieść uczuciom, ale nie potrafię inaczej. Zawsze jest ten moment,

idiotyczny, ale i przyjemny, i wtedy zaczynam wierzyć w to, co niemożliwe.

– Niemożliwe?

– Niełatwo być nieczułym, kiedy uprawia się mój zawód, sam rozumiesz.

– Chyba rozumiem.

No i jest też Luna, prehistoryczna wersja Dalidy o lśniących blond włosach, gorzkim uśmiechu, powolnych gestach, linoskaczka na niebotycznych obcasach. Najzimniejszego dnia w dziejach świata odmroziła częściowo prawą nogę. Madeleine wstawiła w to miejsce mahoniową protezę z narysowaną podwiązką do pończoch. Przypomina mi małą śpiewaczkę. Ma ten sam słowiczy zaśpiew i taką samą spon-taniczność.

– Nie znasz przypadkiem małej śpiewaczki, która mówi tak samo jak ty i obija się o wszystko? – pytam ją czasem.

Udaje, że nie słyszy, i zmienia temat. Myślę sobie, że to Madeleine kazała im obiecać, iż nie zdradzą mi nic na interesujący mnie temat.

Pewnego pięknego dnia, zmęczona ignorowaniem moich ciągłych pytań, odpowiada:

– Nie wiem nic o tej małej Andaluzyjce...

– Co to jest Andaluzyjka?

– Nic nie mówię, nic nie mówię. Zapytaj lepiej Anny.

– Anna nic nie wie...

Zagrywam pokerowo, udaję smutnego chłopca ze spuszczoną głową i półprzymkniętymi oczami.

– O, widzę, że znasz już podstawy uwodzenia – wtrąca się Anna. – Nie powiesz nikomu?

– Nie, oczywiście, że nie!

Szepczą coś, ledwo słyszę ich słowa:

– Twoja mała śpiewaczka pochodzi z Granady, to Andalużja, daleko stąd. Od bardzo dawna nie słyszałam, żeby śpiewała w mieście. Pewnie wróciła do swoich dziadków.

– Chyba że po prostu jest w szkole – dodaje Anna, której głos z normalnej prędkości 33 przyspieszył do 45.

– Dziękuję!

– Ciiiiiii, cicho bądź! – uspokaja mnie Luna, a zawsze, gdy się denerwuje, zaczyna mówić w swoim rodzimym dialekcie.

Krew aż mi kipi, tak bardzo się cieszę. To chwila prawdziwego szczęścia. Moje marzenie rośnie jak ciasto w piecu, sądzę, że nareszcie będę mógł je zrealizować. Jutro naładuję się energią, postawię wielki żagiel i popłynę na szerokie wody, kierunek: szkoła! Tylko że wcześniej trzeba będzie przekonać Madeleine.

– Do szkoły? Ależ będziesz się tam nudził! Będziesz musiał czytać książki, które ci się nie spodobają, a tutaj możesz wybierać, co chcesz... Będziesz musiał siedzieć długie godziny bez ruchu, nie będzie wolno rozmawiać ani hałasować. Nawet żeby marzyć, będziesz musiał czekać do przerwy. Znam cię, nie spodoba ci się to.

– Tak, być może, ale jestem ciekawy, czego uczą w szkole.

– Uczyć się?

– Tak, właśnie tak. Chcę się uczyć. Tutaj sam nie mogę.

Okropne uczucie, kiedy się kłamie. Masz ochotę jednocześnie śmiać się i złościć.

– Lepiej zrobisz, jeśli powtórzysz to, co jest napisane na twojej tabliczce, zdaje się, że szybko o tym zapominasz. Obawiam się tego, co mogłoby ci się tam przydarzyć.

– Wszyscy chodzą do szkoły. Kiedy pracujesz, na szczycie wzgórza, czuję się samotny. Chciałbym też spotykać się z rówieśnikami. Pragnę odkrywać świat, sama rozumiesz...

– Odkrywać świat w szkole... (Westchnienie). Dobrze. Jeśli chcesz iść do szkoły, nie będę cię powstrzymywać – mówi w końcu Madeleine z duszą na ramieniu.

Robię wszystko, żeby opanować radość. Byłoby to niewłaściwe, gdybym zaczął tańczyć z podniesionymi rękoma.

W końcu nadchodzi oczekiwany dzień. Mam na sobie czarny garnitur, który sprawia, że mimo moich jedenastu lat wyglądam jak dorosły. Madeleine doradziła mi, żebym nigdy nie zdejmował marynarki, nawet w klasie, żeby nikt nie zauważył mojego zegara.

Przed wyjściem wrzuciłem do tornistra kilka par okularów znalezionych w jej pracowni. Zajmują więcej miejsca niż zeszyty. Do lewej kieszeni koszuli tuż nad zegarem włożyłem Cunnilingusa. Co jakiś czas chomik wystawia łepkę i wygląda na naprawdę zadowolonego.

– Uważaj, żeby nikogo nie ugryzł! – żartują Anna i Luna, kiedy schodzimy ze wzgórza.

Arthur ciągnie się za nami i cichutko skrzypi.

Szkoła mieści się w bogatej dzielnicy Calton hill, dokładnie naprzeciwko katedry St Gilles. Przed wejściem widać mnóstwo futrzanych płaszczy. Kobiety gdczą tak głośno, że można odnieść wrażenie, iż są to przebrane plastikowe kury. Na ich twarzach pojawia się grymas, gdy Anna i Luna zaczynają się śmiać. Obserwują z pogardą kulawy chód Arthura i wypukłość na moim lewym boku. Ich mężowie, wy-



strojeni w garnitury, wyglądają jak jaskółki, które zaczęły chodzić. Wydają się zszokowane widokiem naszej małej, pokręconej gromadki, ale nie omieszkują rzucić okiem na dekolty dziewczyn.

Po szybkim pożegnaniu z moją naprędce skompletowaną rodziną przechodzę przez ogromne wejście – chyba zapisali mnie do szkoły dla olbrzymów. Podwórze wydaje się nie do pokonania, mimo że boisko, gdzie znajdują się bramki do gry w piłkę nożną, wygląda dość zachęcająco.

Wchodzę na podwórze, przyglądam się twarzom. Uczniowie przypominają miniaturowe wersje swoich rodziców. Wśród szeptów trochę za bardzo słychać mój zegar. Patrzą na mnie, jakbym miał chorobę zakaźną. Nagle wyrasta przede mną jakaś dziewczynka o ciemnych włosach, przygląda się mojej twarzy i mówi „tik-tak, tik-tak”, śmiejąc się przy tym. Całe podwórze odpowiada chórem. Czuję się tak samo albo nawet gorzej niż wtedy, gdy rodziny przychodzą na wzgórze wybrać sobie dziecko. Na próżno zatrzymuję się przy każdej dziewczęcej twarzy, nigdzie nie ma małej śpiewaczki. A jeśli Luna się pomyliła?

Wchodzimy do klasy. Madeleine miała rację, nudzę się jak nigdy w życiu. Cholerna szkoła, w której nie ma małej śpiewaczki... A ja jestem zapisany na cały rok szkolny. Jak mam teraz powiedzieć Madeleine, że już nie chcę się „uczyć”?

W czasie przerwy rozpoczynam śledztwo i pytam, czy ktoś nie zna przypadkiem małej śpiewaczki z Andaluzji, która cały czas o wszystko się obija. Nikt nie odpowiada.

– Nie ma jej w tej szkole?

Brak odpowiedzi.

Czyżby stało się coś złego? Czyżby uderzyła się o coś zbyt mocno?

Nagle znikąd pojawia się dziwny typ. Jest starszy i większy od innych. Na jego widok pozostali uczniowie natychmiast spuszczaają wzrok. Mrozi mnie spojrzeniem czarnych oczu. Jest chudy jak obumarłe drzewo, elegancki jak strach na wróble ubrany przez dobrego krawca, a jego fryzura wygląda, jakby była zrobiona z kruczych piór.

– Ty! Nowy! Czego chcesz od małej śpiewaczki?

Jego poważny głos przywołuje na myśl płytę nagrobną, która nagle przemówiła.

– Któregoś dnia zobaczyłem ją, kiedy śpiewała i objęła się o wszystko. Chciałbym jej podarować okulary.

Drży mi głos, wyglądam, jakbym miał sto trzydzieści lat.

– Nikt nie ma prawa mówić o Miss Acacii ani o jej okularach! Nikt, rozumiesz? A już na pewno nie taki karzeł jak ty. Nigdy więcej nie wypowiadaj jej imienia! Zrozumiałeś, karle?

Nie odpowiadam. Słysząc cichy głos: „Joe”... Sekundy dłużą się w nieskończoność. Nagle Joe nachyla się do mnie i pyta:

– Jak zrobiłeś to dziwne „tik-tak”?

Milczę.

Podchodzi powoli i nachyla się, chcąc zbliżyć ucho do mojego serca. Mój zegar wariuje. Wydaje mi się, że czas się zatrzymał. Ledwie kielkująca broda chłopca kłuje mnie w klatkę piersiową niczym drut kolczasty. Cunnilingus wystawia nos i smarka na czubek głowy Joego. Jeśli zaczniesz sikać, sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej.

Nagle Joe odrywa guzik mojej marynarki i odkrywa wskazówki, które wystają spod koszuli. Tłum gapiów wydobywa z siebie: „Ooooooch”. Jestem znacznie bardziej zakłopotany, niż gdyby zdjął mi spodnie. Słucha przez dłuższą chwilę mojego serca, potem podnosi się powoli.

– To twoje serce robi tyle hałasu?

– Tak.

– Jesteś w niej zakochany, czyż nie?

Jego śmiertelnie poważny ton sprawia, że dreszcz przeżywa każdą komórkę mojego ciała. Rozum chce powiedzieć: „Nie, nie”, ale serce jak zwykle ma bezpośrednie połączenie z ustami.

– Tak, sądzę, że jestem w niej zakochany.

Uczniowie zaczynają szeptać, słychać „oooooch”. Przebłysk melancholii rozjaśnia gniew w oczach Joego, co czyni go jeszcze bardziej przerażającym. Jednym spojrzeniem wymusza ciszę na podwórzu. Chyba nawet wiatr jest mu posłuszny.

– Mała śpiewaczka, jak ją nazywałeś, jest miłością mojego życia i... nie ma jej już tutaj. Nie wspominaj o niej przy mnie nigdy więcej! Nawet o niej nie myśl, bo w przeciwnym razie rozwalę ci na łbie zegar, który służy ci za serce. Roztrzaskam go, rozumiesz? Roztrzaskam go tak, że już NIGDY nie będziesz zdolny kochać.

Ze złości trzęsą mu się ręce, mimo że zaciska je w pięści.

Jeszcze zaledwie kilka godzin temu wydawało mi się, że moje serce jest lodolamaczem zdolnym pokonać ocean wypełniony nienawiścią. Wiedziałem, że nie jest najmocniejsze na świecie, ale wierzyłem w siłę mojego zapału. Płonęła we mnie radość na myśl o spotkaniu małej śpiewaczki i nic nie

mogło mnie powstrzymać. Za ledwie w pięć minut Joe nastawił mój zegar z powrotem na rzeczywistość, zamieniając mój rozedrgany okręt w rozsypującą się łożeczkę.

– Roztrzaskam go tak, że już NIGDY nie będziesz zdolny kochać – powtarza.

– Kuku! – odpowiada moja łupinka.

Mój własny głos uwiązał mi w gardle, jakbym dostał pięścią w brzuch.

Wspinając się na wzgórze, zastanawiam się, w jaki sposób ten wielobarwny ptaszek w okularach mógł wpaść w szpony takiego sępa jak Joe. Pocięszam się myślą, że może moja mała śpiewaczka przychodziła do szkoły bez okularów. Gdzie ona teraz może być?

Niespokojne rozmyślenia przerywa mi jakaś kobieta koło czterdziestki. Mocno trzyma za rękę Joego, jeśli nie odwrotnie, biorąc pod uwagę wielkość sępa. Jest do niego podobna, w zasadzie taka sama, tylko w trochę zwiędłej wersji i z tyłkiem słonia.

– To ty mieszkasz na górze u czarownicy? Wiesz, że pomaga wydostać się dzieciom z brzuchów kurew? Ty pewnie też wydostałeś się z brzucha dziwki, bo przecież wszyscy wiedzą, że stara jest od dawna bezpłodna.

Kiedy wtrącają się dorośli, granica ohydy zawsze zostaje przekroczona.

Mimo mojego upartego milczenia Joe i jego matka obrażają mnie przez spory kawałek drogi. Z trudem docieram na szczyt wzgórza. Przeklęty zegar pełen pragnień! Z chęcią wrzuciłbym cię do krateru Arthur's Seat.

Tego wieczoru Madeleine na próżno śpiewała, żeby mnie uśpić. Nie działało. Kiedy zdecydowałem się porozmawiać z nią o Joem, wyjaśniła mi, że potraktował mnie w ten sposób może dlatego, że chciał zaistnieć w oczach innych i że niekoniecznie musi być zły. Bez wątpienia on też jest nieźle zadurzony w małej śpiewaczce. Zawód miłosny może zmienić ludzi w potwory przepelnione smutkiem. Poblężliwość Madeleine dla Joego mnie wkurza. Ona całuje mnie w tarczę zegara i zwalnia rytm mojego serca, dotykając palcem zębatek. W końcu ze smutkiem zamykam oczy.

## 4

Przez cały rok Joe przyczepia się do mnie jak magnes do moich wskazówek, wymierza mi przy wszystkich ciosy pięścią prosto w zegar. Czasami mam ochotę powyrywać mu te kruczoczarne włosy, ale zamiast tego z ciągle narastającym zmęczeniem bez słowa skargi znoszę upokorzenia. Śledztwo w sprawie małej śpiewaczki nadal nie przynosi rezultatów. Nikt nie ma odwagi odpowiedzieć na moje pytania. W szkole prawo stanowi Joe.

Dziś na przerwie wyciągam z rękawa płaszczajajko od Arthura. Próbuję odnaleźć Miss Acację, myśląc o niej z całej siły. Zapominam o Joem, zapominam nawet o tym, że jestem w tej cholernej szkole. W miarę jak dotykam jajka, pod powiekami ożywa marzenie. Skorupka pęka i pojawia się mała śpiewaczka cała w czerwonych piórach. Trzymam ją między kciukiem a palcem wskazującym, bojąc się, że ją zgniotę albo że mi odleci. Między palcami robi mi się ciepło, jej oczy otwierają się, aż nagle na czaszce czuję trzask.

Żółtko z jajka spływa mi po policzkach, jakby kanalika-mi łzowymi opuszczało mnie marzenie. Przede mną stoi Joe z kawałkami skorupki w palcach. Wszyscy się śmieją, niektórzy nawet biją brawo.

– Następnym razem na łbie rozwałę ci serce.

W klasie dokuczają mi, bo we włosach mam skorupki. Zżera mnie pragnienie zemsty. Wróżki z moich marzeń znikają. Prawie tyle samo czasu poświęcam na nienawiść do Joego, co na miłość do Miss Acacii.

Upokorzenia ze strony Joego powtarzają się dzień po dniu. Stałem się zabawką, na której rozładowuje zdenerwowanie. I smutek. Na próżno regularnie podlewam kwiaty wspomnień o małej śpiewaczce, zaczyna brakować im słońca.

Madeleine zadaje sobie wiele trudu, żeby mnie pocieszyć, ale nadal nie chce słuchać historii sercowych. Arthur już prawie nie ma wspomnień w swojej torbie i śpiewa coraz rzadziej.

Wieczorem w dniu moich urodzin Anna i Luna przychodzą, żeby jak co roku zrobić mi niespodziankę. Jak zwykle bawią się w perfumowanie Cunnilingusa, ale tym razem Luna psika trochę za dużo. Chomik wypręża się w spazmie i pada martwy. Widok mojego wiernego przyjaciela rozciągniętego w klatce przepełnia mnie smutkiem. Z mojej piersi wyrывa się przeciągłe „kuku”.

Na pocieszenie dostaję od Luni atlas Andaluzji. Ach, Andaluzja... Gdybym miał pewność, że Miss Acacia tam jest, wyruszyłbym natychmiast!

Minęły już cztery lata od spotkania z małą śpiewaczką i prawie trzy, odkąd zacząłem chodzić do szkoły. Szukam jej

wszędzie, ale nie mogę znaleźć. Wspomnienia zacierają się pod wpływem czasu.

W przeddzień ostatniego dnia szkoły kładę się spać z goryczą w sercu. Tej nocy nie zasnę. Zbyt intensywnie myślę o tym, co zrobię jutro. To już postanowione, wyruszam na podbój Zachodu miłosnego. Muszę się jeszcze tylko dowiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa mała śpiewaczka. Jedy-  
ną osobą, która może mi to powiedzieć, jest Joe. Patrząc, jak świt przy odgłosie mojego „tik-tak” wydobywa kształty z ciemności.

Jest 27 czerwca, znajduję się na dziedzińcu szkolnym, niebo jest niebieskie, tak niebieskie jak w każdym innym możliwym miejscu na ziemi, tylko nie w Edynburgu. Ta kolejna nieprzespana noc nadszarpnęła mi nerwy.

W pełni zdeterminowany idę prosto w stronę Joego. Zanim zdążę coś powiedzieć, łapie mnie za kołnierz i podnosi do góry. Moje serce skrzypi, złość narasta, kukułka gwizdże. Joe zwraca się w stronę otaczającego nas tłumy.

– Zdejmij koszulę i pokaż nam, co masz w środku. Chcemy zobaczyć to coś, co robi „tik-tak”.

– Taaak! – odpowiada tłum.

Zrywa ze mnie koszulę i wbija paznokcie w tarczę zegara.

– Jak to się otwiera?

– Potrzebny klucz.

– Dawaj ten klucz!

– Nie mam go, jest u mnie w domu, zostaw mnie!

Wcisną paznokieć do dziurki od klucza i wyłamuje zamek.

– Widzisz, obeszło się bez klucza! Kto chce dotknąć?



Uczniowie, którzy nigdy nie zamienili ze mną ani słowa, podchodzą jeden po drugim, żeby mnie pociągnąć za wskazówki albo wprawić w ruch zębatki. Nie patrzą nawet na mnie. Robią mi krzywdę! Kukułka zanosi się czkawką. Klaszczą, śmieją się. Cały dziedziniec woła chórem: „Kuku! kuku! kuku!”.

W tym momencie coś jakby zalało mi umysł. Marzenia uśpione od lat, powstrzymywana wściekłość, upokorzenia – wszystko to nagle wybucha. Zapora puszcza. Niczego już nie mogę zatrzymać.

– Gdzie jest Miss Acacia?

– Nie słyszę, co mówisz – odpowiada Joe, ciągnąc mnie za ramię.

– Gdzie ona jest? Gadaj, gdzie jest. Czy jest w Andaluzji, czy tutaj, odnajdę ją, słyszysz!

Joe powala mnie i unieruchamia twarzą do ziemi. Kukułka drze się jak opętana, czuję ogień w przełyku, coś we mnie pęka. Co trzy sekundy wstrząsają mną spazmy. Joe odwraca się triumfalnie.

– I co, w tym stanie wyruszysz do Andaluzji? – mówi, zaciskając zęby.

– Tak, jadę! Jadę dzisiaj.

Oczy wychodzą mi z orbit, nie panuję nad głosem, ruchy mam przesadne. Staję się żywym sekatorem, zdolnym poćciąć wszystko i wszystkich wokół.

Jak pies obwąchujący gówno, Joe zbliża nos do mojego zegara. Cały dziedziniec zaczyna się śmiać. Tego już za wiele. Łapię go za kark i przyciągam jego twarz do moich wskazówek. Czaszka mocno uderza w drewno mojego serca. Bra-  
wa milkną. Wymierzam mu drugi cios, jeszcze mocniejszy,

potem trzeci. Nagle czas jakby się zatrzymał. Chciałbym uwiecznić tę chwilę na zdjęciu. Pierwsze okrzyki nadciągającej pomocy rozdzierają ciszę w tym samym momencie, kiedy tryskająca krew opryskuje świeżo wyprasowane ubrania kujonów stojących najbliżej. Mała wskazówka przebija źrenicę prawego oka Joego, tak że zamienia się ono w krwawą fontannę. Całe przerażenie Joego koncentruje się w lewym oku, które obserwuje strumień jego krwi. Rozluźniam uścisk, Joe piszczy jak szczeniak, któremu przygnieciono łapę. Ma krew między palcami. Nie odczuwam najmniejszego współczucia. Zapada przedłużająca się cisza.

Zegar mnie pali, ledwo mogę go dotknąć. Joe się nie rusza. Może umarł. Tak bardzo chciałbym, żeby przestał deptać moje marzenia, ale nie do tego stopnia, żeby życzyć mu śmierci. Zaczynam się bać. Naszyjniki z kropel krwi unoszą się w powietrzu. Dookoła uczniowie zamarli niczym posągi. Może zabiłem Joego. Nigdy nie sądziłem, że będę się obawiał, iż Joe może umrzeć.

Uciekam, biegnąc przez dziedziniec, mam wrażenie, że wszyscy depczą mi pó piętach. Wspinam się na lewy filar głównego wejścia, żeby wdrapać się na dach szkoły. Świadomość tego, co zrobiłem, mrozi mi krew w żyłach. Moje serce wydaje takie same dźwięki jak wtedy, kiedy trafiła mnie różowa strzała małej śpiewaczki. Z dachu zauważam szczyt wzgórza, który przebija mgłę. *O Madeleine, będziesz wściekła...*

Stado wędrownych ptaków zatrzymało się nade mną, jakby usadowiły się na półce z chmur. Chciałbym przypiąć się

do ich skrzydeł, oderwać się od ziemi – zniknęłyby mechaniczne zmartwienia mojego serca. Och ptaki, zanieście mnie w ramiona Andaluzyjki, odnajdę swoją drogę!

Niestety, ptaki są dla mnie zbyt wysoko, jak czekolada na półkach, słoje w piwnicy ze łzami pomieszanymi z alkoholem, moje marzenia o małej śpiewaczce, kiedy trzeba pokonać Joego. Jeśli go zabiłem, będzie jeszcze trudniej. Zegar boli mnie coraz bardziej. Madeleine, będziesz miała trochę roboty.

Muszę spróbować cofnąć czas. Łapię jeszcze ciepłą od krwi małą wskazówkę i zdecydowanie ciągnę ją w odwrotnym kierunku. Zębatki skrzypią, a ból jest nie do zniesienia. Nic się nie dzieje. Słyszę krzyki dobiegające z podwórza. Joe trzyma się za prawe oko. Jestem prawie pewien, że słyszę jego piski zranionego szczeniaka.

Zjawia się nauczyciel, słyszę, jak dzieciaki wymawiają moje imię, a wszystkie oczy monitorują dziedziniec niczym radary. Ogarnięty paniką, staczam się z dachu i skaczę na pierwsze z brzegu drzewo. Zahaczam o gałęzie, zdzieram sobie skórę z ramion i padam na ziemię. Adrenalina dodaje mi skrzydeł, nogi nigdy nie spieszyły się tak bardzo, żeby zanieść mnie na szczyt wzgórza.

– Wszystko dobrze w szkole? – pyta Madeleine, układając zakupy w szafce kuchennej.

– I tak, i nie – odpowiadam, cały się trzęsąc.

Podnosi wzrok, zauważa powyginaną małą wskazówkę i wpatruje się we mnie z dezaprobatą.

– Widziałeś się z małą śpiewaczką, czy tak? Ostatni raz

wróciłeś z sercem w tak okropnym stanie, kiedy usłyszałeś, jak śpiewa.

Madeleine gani mnie, jakbym wrócił z odświętymi butami zniszczonymi od grania w nogę. Podczas gdy próbuje wyprostować moją wskazówkę za pomocą złodziejskiego łomu, zaczynam opowiadać jej całą aferę. Na samo wspomnienie moje serce znowu zaczyna wariować.

– Nieźle się wpakowałeś!

– Czy mogę cofnąć czas, przekręcając wskazówki z powrotem?

– Nie, nadwyrężysz je tylko, a to będzie bardzo bolesne. Nic na to nie poradzisz. Nigdy nie można wrócić do tego, co już się stało. Nawet jeśli ma się zegar w sercu.

Spodziewałem się strasznej awantury za wybite oko Joe-go, ale Madeleine jakoś nie bardzo umiała się do tego zabrać. Jej głos drżał, ale bardziej z niepokoju niż ze złości. Jakby zakochanie się było czymś gorszym niż wybite oka temu chamowi.

– *Oh When the Saints...* – rozlega się nagle. Odwiedziny Arthura o tak późnej porze...? To nie leży w jego zwyczajach.

– Policyjna dorożka zmierza na szczyt wzgórza, wygląda to groźnie – mówi zdyszany.

– Muszę uciekać, przyjechali po mnie z powodu oka Joego.

W gardle wyrasta mi bukiet różnorodnych emocji, różowa perspektywa odnalezienia małej śpiewaczki miesza się ze strachem na myśl o odgłosie mojego serca, odbijającym się od krat celi więziennej. Ale wszystko to zatapia fala smutku. Już nigdy więcej Arthura, Anny, Luny i przede wszystkim Madeleine.

Napotkam jeszcze w życiu kilka smutnych spojrzeń, ale

to, które posyła mi w tej chwili Madeleine, pozostanie jedynym z najsmutniejszych.

– Arthur, idź po Annę i Lunę i spróbuj znaleźć jakąś drożkę. Jack musi możliwie najszybciej opuścić miasto. Ja zostanę i porozmawiam z policjantami...

Arthur rzuca się w mrok, słysząc klekot jego kroków – najszybszych, na jakie go stać, chce czym prędzej znaleźć się u stóp wzgórza.

– Przygotuję ci kilka rzeczy, musisz wyjechać w ciągu dziesięciu minut.

– Co im powiesz?

– Że nie wróciłeś. A za kilka dni oświadczę, że zniknąłeś. Za jakiś czas uznają cię za zmarłego. Arthur pomoże mi wykopać grób u stóp twojego ulubionego drzewa obok Cunnilingusa.

– Kogo włożycie do trumny?

– Nie będzie trumny, tylko epitafium wyryte na drzewie. Policja nie będzie tego sprawdzać. To, że uważają mnie za wiedźmę, ma swoje plusy, nie zechcą przecież grzebać w grobach.

Madeleine przygotowuje mi tobołek, a w nim słoiki z jej łzami oraz kilka ubrań. Nie wiem, jak jej pomóc. Mógłbym powiedzieć coś ważnego albo poskładać swoją bieliznę, tymczasem siedzę nieruchomy jak gwóźdź wbity w podłogę.

Dostaję zapasowy klucz do mojego serca, żebym w każdych warunkach mógł się nakręcić. Następnie Madeleine upycha w torbie tu i tam kilka naleśników zawiniętych w brązowy papier, a do kieszeni spodni chowa książki.

– Nie będę ze sobą włókł tego wszystkiego!

Próbuję zachowywać się jak dorosły, mimo że te wszystkie zabiegi wruszają mnie do głębi. W odpowiedzi dostaję tylko ten jej słynny przebiegły uśmiezek. W każdej sytuacji, od najzabawniejszej do najbardziej tragicznej, zawsze musi przygotować coś do jedzenia.

Siadam na bagażu, żeby go domknąć.

– Nie zapomnij udać się do zegarmistrza, jak tylko zatrzymasz się gdzieś na dłużej.

– Chciałaś powiedzieć: lekarza!

– Nie, nie, oczywiście, że nie! Z problemem sercowym nigdy nie chodź do lekarza! On nic nie zrozumie. Żeby sobie z tym poradzić, musisz znaleźć zegarmistrza.

Pragnę powiedzieć jej o mojej miłości i wdzięczności, na końcu języka mam wiele słów, ale nie potrafię wymówić ich głośno. Pozostają mi ramiona; przyciskając ją do siebie z całej siły, próbuję przekazać jej to wszystko.

– Uważaj, uszkodzisz sobie zegar, jeśli przytulimy się zbyt mocno – mówi tym swoim zarazem delikatnym i zmęczonym głosem. – Musisz już jechać, nie chcę, żeby cię tutaj znaleźli.

Uścisk się rozluźnia, Madeleine otwiera drzwi. Jestem jeszcze w domu, a już mi zimno.

Pokonując drogę, którą tak dobrze znam, wyciągam słoik łoż. Odciążam torbę, ale nie serce. Żeby zatrzeć ból rozstania, pałaszuję naleśniki, a mój brzuch rozciąga się tak, że wyglądam jak ciężarna kobieta.

Na drugim zboczach starego wulkanu widzę nadjeżdżają-

cych policjantów. Joe i jego matka też tam są. Drzę jednocześnie ze strachu i z euforii. U stóp Arthur's Seat czeka na nas dorożka. Wyłania się ze światła latarni niczym kawałek nocy. Anna, Luna i Arthur pośpiesznie wchodzą do środka. Woźnica, zarośnięty aż po brwi, pokrzykuje na konie tubalnym głosem. Z policzkiem przyklejonym do szyby patrzę, jak Edynburg niknie we mgle.

Jeziora rozciągają się od wzgórza do wzgórza, odmierzając coraz precyzyjniej odległość, którą pokonuję. Arthur dyszy jak lokomotywa parowa, głowy Anny i Luny kołyszą się. Wyglądają jak siostry syjamskie. W ciszy nocy słyszczyć tykanie mojego zegara. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy oni wrócą, ale beze mnie.

O świcie budzi mnie rozdzierająca melodia *Oh When the Saints...* Nigdy jej nie słyszałem śpiewanej tak wolno. Dorożka zatrzymuje się.

– Przyjechaliśmy! – mówi Anna.

Luna stawia mi na kolanach starą klatkę dla ptaków.

– To gołąb pocztowy, którego pewien romantyczny klient podarował mi parę lat temu. To bardzo dobrze wyszkolony ptak. Pisz do nas o tym, co u ciebie. Przywiąż mu listy do lewej nogi, a on je nam dostarczy. Dzięki temu będziemy w kontakcie. Znajdź cię, gdziekolwiek będziesz, nawet w Andaluzji, w kraju, gdzie kobiety patrzą prosto w oczy! Powodzenia, *pequeñito* – dodaje, ściskając mnie mocno.

## 5

*Jack,*

*ten list będzie bardzo ciężki. Tak ciężki, że zastanawiam się, czy gołąb da radę udźwignąć taką wiadomość.*

*Tamtego ranka, kiedy Luna, Anna i ja wróciliśmy na wzgórze, drzwi do domu były otwarte, ale w środku nie było nikogo. Pracownia była zupełnie zniszczona, jakby przeszedł przez nią huragan. Wszystkie skrzynki Madeleine były po-otwierane. Nawet kot zniknął.*

*Wyruszyliśmy na poszukiwania Madeleine. W końcu znaleźliśmy ją w więzieniu St Calford. Podczas tych kilku minut, kiedy mogliśmy się z nią widzieć, wyjaśniła, że policja zatrzymała ją zaledwie chwilę po tym, jak odjechaliśmy. Dodała, że nie powinniśmy się przejmować, bo to już nie pierwszy raz, jak ją uwięzili, i że wszystko będzie dobrze.*

*Chciałbym móc napisać, że ją uwolnili, że jedną ręką przygotowuje posiłki, a drugą kogoś naprawia, i że ma się dobrze, mimo że brakuje jej Ciebie. Jednak wczoraj wieczorem Madeleine odeszła. Wyruszyła w podróż, o której sama zdecydowała, ale z której nigdy już nie będzie mogła wrócić. Jej ciało zostało w więzieniu, ale jej serce jest już wolne. Na-*



*wet na dnie rozpaczy nie zapominaj, że daleś jej radość prawdziwego macierzyństwa. To było największe marzenie jej życia.*

*Właśnie czekamy na gołębia, który ma nam przynieść nowiny od Ciebie. Oj, żeby nadleciał szybko. Myśl o tym, że wierzysz, iż Madeleine jeszcze żyje, jest dla nas nie do zniesienia. Spróbuję nie czytać ponownie tego listu, bo może mi zabraknąć odwagi, by go do Ciebie wysłać.*

*Anna, Luna i ja życzymy Ci odwagi niezbędnej, żebyś poradził sobie z tą kolejną próbą.*

*Z wyrazami miłości*

*Arthur*

*PS. I nigdy nie zapomnij Oh When the Saints!*

Kiedy panikuję, mechanizm mojego serca pędzi tak, że wydaję się sobie lokomotywą parową, która wypada z szyn na zakrętach. Podróżuję po szynach własnego strachu. Czego się boję? Ciebie, to znaczy siebie bez ciebie. Para, mechaniczna panika mojego serca, wciska się pod szyny. O Madeleine, ależ ty umiałaś mnie ogrzać! Czuję jeszcze ciepło naszego ostatniego uścisku, a jednocześnie jest mi tak zimno, jakbym nigdy nie spotkał cię tego najzimniejszego dnia w dziejach świata.

Pociąg parska przeszywającym hałasem. Chciałbym zawrócić czas i złożyć moje rozklekotane serce w twoich ramionach. Miarowy rytm pociągu wywołuje jakieś trzaski, których dopiero muszę nauczyć się unikać. Tymczasem teraz mam w sercu popcorn. O Madeleine, nie zostawiłem za sobą jeszcze nawet mgieł Londynu, a już wypilem wszystkie

twoje łzy! O Madeleine, obiecuję, że przy najbliższym postoju pójmę do zegarmistrza. Zobaczysz, wrócę do ciebie w dobrym stanie, to znaczy na tyle rozregulowany, żebyś mogła na nowo ćwiczyć na mnie swoje talenty majsterkowicza.

Im więcej czasu mija, tym bardziej przeraża mnie ten pociąg. Jego dyszące i trzeszczące serce zdaje się być równie rozklekotane jak moje. Musi być szaleńczo zakochane w lokomotywie, która je ciągnie. Chyba że tak samo jak mnie jest mu smutno z powodu tego, co za sobą zostawia.

W wagonie czuję się samotny. Łzy Madeleine sprawiły, że w głowie mam kołowrót. Muszę zwymiotować albo z kimś porozmawiać. Dostrzegam wysokiego faceta, który coś pisze oparty o okno. Z daleka przypomina Arthura, ale im bliżej podchodzę, tym bardziej to wrażenie znika. Oprócz cienia, który rzuca, nie ma obok niego nikogo. Pijany samotnością, postanawiam zaryzykować:

– Proszę pana, co pan pisze?

Mężczyzna podskakuje i lewą ręką zakrywa twarz.

– Przestraszyłem pana?

– Zaskoczyłeś mnie. To co innego.

Pisze dalej, tak starannie, jakby malował obraz. Kołowrót w mojej głowie przyspiesza.

– Czego chcesz, mały?

– Chcę oczarować pewną kobietę w Andaluzji, ale wcale nie znam się na miłości. Kobiety, które poznałem, nigdy nie chciały mnie o niej niczego nauczyć, no i czuję się samotny w tym pociągu... Może mógłby mi pan pomóc?

– Kiepsko trafiłeś, mój chopcze! Nie jestem zbyt zdolny do miłości... w każdym razie nie z żywymi. Nie, z żywymi to nigdy jakoś nie wychodziło.

Zaczynam drzeć. Czytam mu przez ramię i chyba to go wkurza.

– Ten czerwony atrament...

– To krew! Idź sobie stąd, mały, idź sobie!

Przepisuje starannie to samo zdanie na kilku kawałkach papieru: „Uniżony sługa Kuba Rozpruwacz”.

– Mamy takie samo imię, myśli pan, że to dobry znak?

Wzrusza ramionami, zły, że jego słowa nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Gwizd lokomotywy niesie się daleko, mgła wdziera się przez okna. Trzęsę się już cały z zima i ze strachu.

– Spadaj stąd, mały!

Gwałtownie uderza lewym obcasem w podłogę, jakby chciał przestraszyć kota. Nie jestem kotem, ale trochę to na mnie działa. Odgłos buta współbrzmi z hałasem pociągu. Mężczyzna odwraca się do mnie, rysy jego twarzy są jak ostrza.

– Wynoś się natychmiast!

Wściekłość w jego oczach przywodzi mi na myśl Joego i powoduje, że drżą mi nogi. Przybliży się do mnie, nucąc:

– No dalej, mgły! Niech rozdzwonią się wasze pociągi widma, dostarczę wam duchów, delikatnych kobiet, blondynek lub brunetek wyrzeźbionych z mgły...

Jego głos zmienia się w rżenie.

– Mogę rozpruć im brzuchy, nawet ich nie strasząc, a potem podpisać: uniżony sługa Kuba Rozpruwacz! Nie bój się, mój chłopcze, szybko nauczysz się przerażać, żeby prze-

trwać! Nie bój się, mój chłopcze, szybko nauczysz się przerażać, żeby przetrwać...

Moje serce i ciało ponoszą, i tym razem nie chodzi o miłość. Przebiegam korytarze pociągu. Nikogo. Rozpruwacz pędzi za mną, rozbijając wielkim nożem szyby okien. Do wagonu wlatuje stado czarnych ptaków i obsiada mojego prześladowcę, który idąc, posuwa się szybciej niż ja, kiedy biegnę. Następny wagon. Nikogo. Odgłos kroków nasila się, ptaków jest coraz więcej, wyfruwają z jego marynarki, z oczu, rzucają się na mnie. Przeskakuję przez siedzenia, żeby zwiększyć dzielącą nas odległość. Odwracam się, oczy Kuby Rozpruwacza oświetlają cały pociąg, ptaki doganiają mnie, z jednej strony jego cień, z drugiej lokomotywa – jestem w pułapce. Dopadnie mnie! O Madeleine! Nie słyszę już nawet mojego zegara, który kłuje mnie aż w brzuchu. Kuba Rozpruwacz chwyta mnie za ramię. Rozerwie mnie, rozerwie mnie, a ja nawet nie będę miał czasu, żeby się zakochać!

Pociąg jakby zwalnia, wjeżdża na dworzec.

Kuba Rozpruwacz, chowając swoją broń, powtarza ostatni raz:

– Nie bój się, mój chłopcze, szybko nauczysz się przerażać, żeby przetrwać!

Trzęsę się z przerażenia. Schodzi po stopniu i rozplywa się w tłumie pasażerów na peronie.

Siadam na ławce na dworcu Victoria i zaczynam dochodzić do siebie. Rytm mojego serca pomału zwalnia, ale drewno zegara nadal pali. Myślę sobie, że zakochanie nie

może być gorsze niż spotkanie oko w oko z Kubą Rozpruwaczem w opustoszałym pociągu. Naprawdę sądziłem, że mnie zabije. Jakim sposobem mała dziewczynka mogłaby rozregulować moje serce bardziej niż Rozpruwacz o złowrogim spojrzeniu? Ale jej bronią są niekończące się rzęsy, wypukłość piersi... Nie, to niemożliwe. To wszystko nie może być gorsze niż to, co właśnie przeżyłem.

Na dużej wskazówce siada ptaszek, aż podskakuje. Przestraszył mnie, głupi! Jego pióra delikatnie pieszczą moją tarczę. Poczekam, aż odfrunie, i czym prędzej opuszczę Wielką Brytanię.

Statek, który przewozi mnie przez La Manche, nie jest tak przerażający jak pociąg do Londynu. Poza kilkoma starszymi paniami wyglądającymi jak zwiędłe kwiaty, nie ma tu nikogo straszego. Tymczasem mgły smutku, które mnie spowily, nie chcą się rozwiać. Nakręcam się za pomocą klucza i w tej chwili mam wrażenie, że czuję się lepiej. Wracają wspomnienia. Pierwszy raz w życiu tak bardzo zagłębiam się we wspomnienia. Opuściłem dom zaledwie wczoraj, ale zdaje mi się, że nie ma mnie tam już od dawna.

W Paryżu jem obiad nad brzegiem Sekwany, w restauracji pachnącej zupami warzywnymi, których zawsze nienawidziłem, ale uwielbiałem ich zapach. Tłuściutkie kelnerki uśmiechają się do mnie uśmiechem, z jakim zwykle patrzemy na niemowlaków. Elegancy staruszkowie rozmawiają przyciszonym głosem. Słyszę brzęk pokrywek i widelców.

Ta ciepła atmosfera przypomina mi stary dom Doktor Madeleine. Zastanawiam się, co może teraz robić na szczycie wzgórza. Decyduję się napisać do niej.

*Droga Madeleine,*

*u mnie wszystko dobrze, chwilowo jestem w Paryżu. Mam nadzieję, że Joe i policja dali Ci spokój. Czekaając na mnie, nie zapomnij posadzić mi kwiatów na grobie!*

*Brakuje mi Ciebie i domu.*

*Dbam o zegar. Tak jak prosiłaś, poszukam zegarmistrza, żeby mnie dobrze nakręcił po tych wszystkich przeżyciach. Ucałuj ode mnie Arthura, Lunę i Annę.*

*„Mały Jack”*

Specjalnie piszę krótko, żeby gołębiowi nie było zbyt ciężko. Chciałbym szybko otrzymać nowiny. Zwijam list, przywiązuję go do łapki ptaka, którego wyrzucam w paryskie niebo. Leci trochę bokiem. Bez wątpienia Luna chciała oryginalnie przyszyć mu pióra na czas godów. Ogoliła mu również głowę po bokach i teraz ptak przypomina skrzydlatą szczotkę toaletową. Zastanawiam się, czy nie powinienem był posłużyć się zwykłą pocztą.

Nim wyruszę w dalszą podróż, muszę znaleźć zegarmistrza. Od wyjazdu serce skrzą mi bardziej niż kiedykolwiek. Chciałbym je wyregulować, żeby móc odnaleźć małą śpiewaczkę. Jestem to winien Madeleine. Dzwonię do drzwi jubilera na Boulevard Saint-Germain. Starszy mężczyzna, wystrojony jak stróż w Boże Ciało, pyta mnie o powód wizyty.

- Chcę naprawić zegar...
- Ma go pan przy sobie?
- Tak!

Odpinam guziki marynarki, następnie koszuli.

- Nie jestem lekarzem – mówi sucho.
- Nie zechciałby pan rzucić okiem, żeby sprawdzić, czy z zębatkami wszystko w porządku?
- Nie jestem lekarzem, mówię ci, nie jestem lekarzem!

W jego głosie słychać nutkę lekceważenia. Staram się zachować spokój. Patrzy na mój zegar, jakbym mu pokazywał coś obrzydliwego.

– Wiem, że nie jest pan lekarzem! To zwykły zegar, który należy czasem wyregulować, żeby dobrze działał...

– Zegary są przeznaczone do odmierzenia czasu i tylko tego. Spadaj stąd ze swoim diabelskim przebraniem. Idź sobie albo zwołam policję!

Poczułem się jak w szkole, wśród rówieśników. To nic, że znam to uczucie niesprawiedliwości, nigdy się do niego nie przyzwyczaję. Wręcz przeciwnie, im jestem starszy, tym bardziej staje się ono bolesne. To przecież tylko drewniany zegar, kilka zębatek pozwalających mojemu sercu bić!

Przy wejściu do butik wisi stary metalowy zegar ścienny z tysiącem pretensjonalnych złocień. Tak jak niektóre psy przypomina swojego właściciela. Przed opuszczeniem sklepu wymierzam mu kopniaka jak zawodowy piłkarz. Zegar chwije się, wahadło gwałtownie uderza o ściany. Kiedy zwiewam na Boulevard Saint-Germain, za plecami słyszę dźwięk tłuczonej witryny. To niesamowite, ale ten hałas mnie odpręża.

Kolejny zegarmistrz, gruby, łysy, poczciwy facet koło pięćdziesiątki, okazuje się bardziej wyrozumiały.

– Powinieneś pójść do pana Mélièsa. To bardzo pomysłowy iluzjonista. Jestem pewien, że będzie bardziej niż ja skłonny rozwiązać twój problem, mój mały.

– Potrzebuję zegarmistrza, nie magika!

– Niektórzy zegarmistrze są po części magikami, a ten magik jest po części zegarmistrzem, jak Robert Houdin\*, od którego zresztą odkupił teatr! – mówi z nutą przebiegłości w głosie. – Złóż mu także wizytę w moim imieniu, jestem przekonany, że świetnie cię zreperuje!

Nie rozumiem, dlaczego ten sympatyczny mężczyzna sam mi nie pomoże, ale sposób, w jaki odnosi się do mojego problemu, podnosi mnie na duchu. No i ogarnia mnie entuzjazm na myśl o spotkaniu magika, który w dodatku jest magikiem zegarmistrzem. Pewnie będzie podobny do Madeleine, może nawet pochodzi z tej samej rodziny.

Przechodzę na drugą stronę Sekwany. Majestat ogromnej katedry przyprawia mnie o kręcz szyi. Podobnie różnorodność pośladków i koczków. W końcu docieram na bulwar des Italiens, gdzie mieści się słynny teatr. Młody wąsaty mężczyzna o żywym spojrzeniu otwiera drzwi.

– Czy tu mieszka magik?

---

\* Jean-Eugène Robert Houdin (1805–1871) – zegarmistrz, iluzjonista, wynalazca między innymi kilometromierza oraz przyrządów do badań okulistycznych. Houdin w swoim teatrzyku pokazywał zegary ze śpiewającymi ptakami i innymi niezwykłymi mechanizmami. Miał znaczny wpływ na pracę Georges’a Mélièsa (pierwszego producenta filmowego, ojca efektów specjalnych), a słynny magik Houdini obrał sobie pseudonim na jego cześć.



- Jaki? – pyta jak w zabawie w zgadywanki.
- O nazwisku Georges Méliès.
- To ja we własnej osobie!

Przemieszcza się jak automat, ruchami nieskoordynowanymi, a zarazem pełnymi gracji. Mówi szybko, a jego palce niczym wykrzykniki akcentują słowa. Kiedy jednak opowiadam mu moją historię, słucha bardzo uważnie. Zakończenie kieruję wprost do niego:

– Chociaż ten zegar służy mi za serce, przysługa, o jaką pana proszę, nie wykroczy poza pańską rolę zegarmistrza.

Zegarmistrz iluzjonista otwiera tarczę, osłuchuje mnie za pomocą urządzenia, które pozwala łatwiej dojrzeć małe elementy, i rozczuła się, jakby przed oczami stanęło mu dzieciństwo. Wprawia mechanizm w ruch, naprawia kukułkę i wyraża podziw dla dzieła Madeleine.

– Jak ty to zrobisz, że duża wskazówka jest aż tak po wyginana?

– Jestem zakochany, ale w ogóle nie znam się na miłości. Złoszczę się, kłócę, a czasem nawet próbuję przyspieszyć lub zwolnić czas. Jestem w bardzo złym stanie?

Śmieje się jak wąsate dziecko.

– Nie, działasz bardzo dobrze. Co dokładnie chcesz wiedzieć?

– Otóż Doktor Madeleine, która zainstalowała mi ten zegar, mówi, że to pośpiesznie zmaistrowane serce, nie może działać w stanie zakochania. Jest przekonana, że nie wytrzymałoby takiego szoku emocjonalnego.

– Ach tak? Zastanówmy się...

Przymyka oczy i gładzi się po brodzie.

– Ona może tak myśleć, ale ty nie musisz przecież mieć na ten temat takiego samego zdania, czyż nie?

– To prawda, mam inne zdanie niż ona. Kiedy po raz pierwszy ujrzałem małą śpiewaczkę, miałem wrażenie, że mój zegar dotknęło trzęsienie ziemi. Zębatki skrzypiały, tykanie przyspieszyło. Zacząłem się dusić, wszystko się rozregulowało.

– Podobało ci się to?

– Bardzo...

– A widzisz! I...?

– I bardzo się bałem, że Madeleine miała rację.

Georges Méliès potakuje ruchem głowy, przyglądając wamy. Dobiera słowa jak chirurg narzędzia.

– Jeśli boisz się, że zrobisz sobie krzywdę, zwiększasz tylko prawdopodobieństwo, że tak się stanie. Spójrz na lino-skoczkę; jak sądzisz, czy myśli o tym, że może spaść z naprężonej liny? Nie, podejmuje ryzyko i smakuje przyjemność, jaką sprawia mu igranie z niebezpieczeństwem. Jeśli spędzisz życie, myśląc tylko o tym, żeby sobie niczego nie uszkodzić, będziesz się okropnie nudził. Nie znam nic bardziej porywającego niż nieostrożność! Spójrz na siebie! Mówię „nieostrożność” i twoje oczy zaczynają błyszczeć! Ach! Jeśli w wieku czternastu lat decydujesz się przemierzyć Europę, żeby odnaleźć dziewczynę, to oznacza, że masz poważne skłonności do nieostrożności, czyż nie?

– Tak, tak... Ale nie ma pan czegoś, co wzmocniłoby moje serce?

– Och, ależ oczywiście... Posłuchaj mnie uważnie, jesteś gotów? Słuchaj uważnie: jedyną rzeczą, jak powiadasz, która pozwoli ci uwieść kobietę twoich marzeń, jest twoje ser-

ce. Nie to w postaci zegara, które wstawiono ci w dniu urodzin. Mówię o tym prawdziwym, z ciała i krwi, które całe aż drży. To właśnie o nie chodzi. Zapomnij o problemach z mechanizmem, staną się wtedy mniej ważne. Bądź nieostrożny, a przede wszystkim dawaj, oddaj się bez reszty!

Méliès jest bardzo ekspresyjny. Kiedy mówi, na jego twarzy poruszają się wszystkie mięśnie. Kiedy się uśmiecha, jego wąsy uwydatniają się jak u kota.

– To nie zawsze działa, nic ci nie gwarantuję, mnie też nie udało się z tą, którą uważałem za kobietę swojego życia. Ale żaden sposób nie działa zawsze.

Ten iluzjonista, którego niektórzy uważają za geniusza, udzielił mi właśnie wykładu z magii miłosnej, a na końcu wyznał, że jego najnowsza mikstura wybuchła mu na twarz. Muszę jednak przyznać, że mi pomógł. Nie tylko naprawiając zębatki, ale przede wszystkim dlatego, że ze mną porozmawiał. To wrażliwy człowiek, który umie słuchać. Wyczuwa się, że zna się na ludziach. Być może udało mu się zgłębić tajniki mechanizmów ludzkiej psychiki. W ciągu zaledwie kilku godzin zżyliśmy się ze sobą.

– Mógłbym napisać książkę na temat twojej historii, znam ją już, jakby była moją własną – mówi.

– Niech ją pan napisze. Jeśli kiedyś będę miał dzieci, przeczytają ją. Ale jeśli chce pan znać zakończenie, musi pan pojechać ze mną do Andaluzji!

– Potrzebowałbyś towarzystwa depresyjnego iluzjonisty w swojej miłosnej podróży?

– Owszem, bardzo by mi się przydał.

– Wiesz, że przeze mnie cuda mogą się nie wydarzyć!

– Ależ na pewno tak się nie stanie.

- Daj mi jedną noc na zastanowienie się, dobrze?
- Zgoda.

Kiedy pierwsze promienie słońca wślizgują się przez okiennice do pracowni Georges'a Mélièsa, słyszę okrzyki:

- Andaluźja! Anda! Andaluźja! Anda! Andaaaaa!

Pojawia się szaleniec w pizamie, który chyba urwał się z choinki.

– Zgadżam się, młody człowieku. Powinienem podróżować dosłownie i w przenośni. Nie pozwolę, aby na zawsze spowiła mnie melancholia. Ogromny powiew świeżego powietrza, oto co nas czeka! Jeśli nadal chcesz, abym ci towarzyszył.

- Oczywiście! Kiedy ruszamy?

– Natychmiast po śniadaniu! – odpowiada, pokazując mi swój tobolek.

Siadamy przy stole o krzywych nogach. Połykamy zbyt gorącą czekoladę i wilgotne kanapki z konfiturą. Nie są tak dobre jak u Madeleine, ale to całkiem zabawnie jeść wśród kosmitów z papieru.

– Wiesz, kiedy byłem zakochany, ciągle coś wymyślałem. Najróżniejsze sztuczki, iluzje i oszustwa, żeby zabawić moją narzeczoną. Sądzę, że w końcu miała dość moich wynalazków – mówi ze smutno opuszczonymi węsami. – Chciałem zabrać ją w podróż na Księżyc, wszystko bym dla niej zrobił, a tak naprawdę powinienem był stanąć z nią mocno na Ziemi. Poprosić ją o rękę, znaleźć nam coś bardziej nadającego się do mieszkania niż moja pracownia, sam nie wiem... – Wzdycha. – Pewnego dnia zdjąłem dwie półki,

zrobiłem z nich platformy, do których przyczepiłem kółka od wózka szpitalnego, żebyśmy mogli pojeździć przy świetle księżycy. Nie chciała na nie wsiąść. A ja musiałem naprawić półki. Miłość nie zawsze jest łatwa, mój chłopcze – powtarza jakby w półśnie. – Ale my dwaj, ja i ty, wsiądziemy na platformy! Przemierzemy pół Europy półkami na kółkach!

- Proponowałbym też pociąg. Presja czasu...
- Opresja?
- Też.

Mam wrażenie, że mój zegar jak magnes przyciąga złamane serca. Madeleine, Arthur, Anna, Luna, nawet Joe, a teraz Méliès. Wydaje mi się, że ich serca potrzebują naprawy jeszcze bardziej niż moje.

## 6

Kurs na południe! Oto my, pielgrzymi na kółkach, w poszukiwaniu nieprawdopodobnego marzenia na drogach Francji. Niezła z nas para: wielka niezdara z kocimi wąsami i mały rudzielec z drewnianym sercem. Pseudo-Don Kichoci, ruszający, niczym bohaterowie westernu, na podbój andaluzyjskiej krainy. Luna opisywała mi południe Hiszpanii jako kraj nieprzewidywalny, gdzie marzenia i koszmary współgzystują tak jak kowboje i Indianie na Dzikim Zachodzie. Pożyjemy, zobaczymy!

W drodze dużo rozmawiamy. Méliès stał się dla mnie w pewnym sensie Doktorem Love. Jest zaprzeczeniem Madeleine, ale sprawia, że dużo myślę o nich obojgu. Ja z kolei próbuję zachęcić go do ponownych podbojów miłosnych.

– Może po cichu nadal się w tobie kocha... Może podróż na Księżyc, choćby w kartonowej rakiecie, mogłaby jeszcze sprawić jej przyjemność, kto wie.

– Oj, nie sędzę. Wydaję się jej żaloszny ze swoimi pomysłami. Jestem pewien, że zakocha się w jakimś naukow-

cu albo wojskowym, zważywszy na to, jak to się wszystko skończyło.

Nawet gdy ogarnia go melancholia, mój zegarmistrz iluzjonista nadal potrafi być komiczny, a jego sterczące wąsy, rozwiewane bezustannie przez wiatr, mają w tym swój udział.

Nigdy nie śmiałem się tyle, co podczas tej bajecznej podróży. Ukradkiem wsiadamy do pociągów towarowych, śpiemy mało i jemy byle co. Ja, który żyję z zegarem w sercu, nie zważam już na czas. Deszcz zaskoczył nas tyle razy, że zastanawiam się, czy nie skurczyliśmy się, ale nic nie może nas powstrzymać. I czujemy, że teraz żyjemy intensywniej niż kiedykolwiek.

W Auxerre jesteśmy zmuszeni przenocować na cmentarzu. Następnego ranka jemy śniadanie na płycie nagrobnej jak na niskiej ławie. Światowe życie.

W Lyonie przedostajemy się na drugą stronę mostu de la Guillotière na naszych platformach na kółkach, uczepieni dorożki. Przechodnie biją nam brawo, jakbyśmy prowadzili peleton Tour de France.

W Walencji, po nocy bezcelowego błąkania się, pewna staruszka, która uważa nas za swoich wnuków, pichci nam najlepszego na świecie kurczaka z frytkami. Możemy też wziąć kąpiel w mydle, które nas przeobraża, i napić się niegazowanej lemoniady. Bardzo światowe życie.

Czyści i odświeżeni, znów wyruszamy na podbój Dzikiego Południa: Orange i policja kolejowa, niezbyt skłonna, by pozwolić nam spać w wagonie dla zwierząt, Perpignan

i pierwszy podmuch Hiszpanii... Z każdym kilometrem moje marzenie nabiera mocy. Miss Acacio, nadchodzę!

U boku mojego kapitana Mélièsa czuję się niezwykcieżony. Granicę hiszpańską przekraczamy, wygięci w łuk, na naszych platformach na kółkach. Ciepły wiatr gości w moim sercu, zmieniając wskazówki w śmigła wiatraka. Wiatraka, który zmieli ziarenka snu i stworzy rzeczywistość. Miss Acacio, nadchodzę!

Drogę otwierają nam drzewa oliwkowe, ale szybko zastępują je drzewa pomarańczowe, których owoce sięgają nieba. Niestrudzenie posuwamy się naprzód. Czerwone góry Andaluzji przecinają horyzont przed nami.

Blady cumulus nabija się na szczyty i nerwowo wypływa piorun kilka kilometrów od nas. Méliès daje mi znak, żebym zamknął zegar i schował metalowe części. To jeszcze nie pora na uderzenie pioruna.

Jakiś ptak zbliża się do nas, kołując niczym sęp. Skały, które nas otaczają, sprawiają, że wygląda to dość groźnie. Ale to tylko stary gołąb pocztowy od Luny, który przynosi mi wieści. To wielka ulga zobaczyć go w końcu, bo mimo że moje myśli są bezustannie wzburzone, nie zapominam o Madeleine.

Gołąb ląduje w niewielkiej chmurze kurzu. Moje serce niecierpliwie przyspiesza rytm. Bardzo chcę już przeczytać list, ale nie jestem w stanie złapać tego cholernego ptaka! Wąsaty Indianin, który mi towarzyszy, zaczyna gruchać, żeby go przywabić, aż w końcu udaje mi się schwytać opierzono-ciało. Wszystko na nic. Gołąb przyleciał z pustymi łapkami.



mi. Został tylko kawałek nitki na jego lewej nóżce. Nie ma listu od Madeleine. Musiał go porwać wiatr. Może w okolicach Walencji, w dolinie Renu, gdzie przybiera na sile, zanim zaniknie w słońcu. Jestem tak rozczarowany, jakbym otworzył prezent i znalazł w środku widmo niespodzianki. Siadam na platformie i gryzmołę w pośpiechu.

*Droga Madeleine,  
czy mogłabyś streścić swój pierwszy list w kolejnym, bo ten  
debilny gołąb posiał go gdzieś po drodze.*

*Znalazłem zegarmistrza, który dba o mój zegar, miewam  
się dobrze.*

*Bardzo mi Ciebie brakuje. Anny, Luny i Arthura też.*

*Całuję*

*Jack*

Méliès pomaga mi zawinąć starannie papier wokół nóżki gołębia.

– Gdyby wiedziała, że jestem u wrót Andaluzji i gonię za miłością, byłaby wściekła!

– Matki boją się o dzieci i chronią je, jak mogą, ale czas, żebyś opuścił gniazdo! Spójrz na swoje serce! Jest południe! To właśnie teraz należy się zaangażować! Widziałeś, co mamy napisane z przodu naszych platform: *Grenada! Anda! Anda!* – pohukuje Méliès z błyskiem komety w spojrzeniu.

W poszukiwaniu skarbu, kiedy blask złotych monet zaczyna przebijać się przez dziurkę w kufrze, wzruszenie nas obezwładnia, ledwie ma się odwagę otworzyć wieko. Strach przed wygraną.

Hołubię to marzenie od tak dawna! Joe rozwalił mi je na

głowie, pozbierałem jego resztki. Z wielką cierpliwością od-  
tworzyłem jajo pełne wspomnień o małej śpiewaczce. Tym-  
czasem, kiedy wszystko staje się prawie realne, paraliżuje  
mnie trema. Alhambra wyciąga do nas swoje arabeski za-  
tknięte w niebie koloru opala. Dorożki podskakują. Moje  
serce podskakuje. Wiatr się wzmacza, unosi uliczny pył i su-  
kienki kobiet, które wyglądają jak parasole. Czy będę miał  
odwagę stanąć przed tobą, Miss Acacio?

Natychmiast po przybyciu na stare miasto zaczynamy  
poszukiwania sali widowiskowej. Jest niewiarygodnie jasno.  
Méliès zadaje to samo pytanie we wszystkich teatrach, jakie  
napotykamy na naszej drodze.

– Nie słyszeli państwo o małej śpiewaczce, która widzi  
nie za dobrze?

Łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana. Zmierzch gasi  
czerwonopomarańczowy żar miasta, a Miss Acacii wciąż ani  
ślada.

– Mamy tu dużo takich śpiewaczek – odpowiada sucho  
starszy mężczyzna, kiedy przekraczamy próg entego teatru.

– Nie, nie, ta, o którą nam chodzi, jest niesamowita. Bar-  
dzo młoda, ma czternaście–piętnaście lat, ale śpiewa jak do-  
rosła, często na coś wpada.

– Jeśli jest tak niezwykła, jak mówicie, spróbujcie  
w „Niezwykłościach”.

– Co to jest?

– To dawny cyrk zamieniony na jarmark. Można tam zo-  
baczyć spektakle wszelkiego typu, wędrownych trubadurów,  
gwiazdne tancerki, pociągi widma, karuzele z dzikimi sło-

niami, ptaki śpiewające jak ludzie, parady żywych potworów... No i, jak mi się zdaje, mają małą śpiewaczkę. Adres: calle Pablo Jardim 7 w dzielnicy Cartuja, kwadrans stąd.

– Dziękuję panu bardzo.

– To dziwne miejsce... dla amatorów... W każdym razie życzę powodzenia!

W drodze Méliès udziela mi rad i nie szczędzi pouczeń.

– Musisz zachowywać się jak gracz pokerowy. Nigdy nie okazuj ani strachu, ani zwątpienia. W tej grze twoim atu jest serce. Myślisz, że to słabość, ale jeśli uczynisz z niej zaletę i zaakceptujesz swoją wrażliwość, twoje zegaroserce uczyni cię wyjątkowym. Twoja inność sprawi, że będziesz naprawdę pociągający!

– Moja ułomność jako uwodzicielska broń? Naprawdę tak sądzisz?

– Oczywiście! Przecież mała śpiewaczka urzekła cię właśnie tym, że nie nosiła okularów i o wszystko się obijała.

– Oj, to co innego...

– To co innego, jasne, ale ta inność stanowi o jej uroku. Wykorzystaj swoją, to właśnie odpowiedni moment.

Jest dwudziesta druga, kiedy wkraczamy na teren „Niezwykłości”. Przebiegamy alejami, zewsząd płynie muzyka, różne melodie nakładają się na siebie, powodując radosny harmider. Powiew wiatru niesie zapach smażonych potraw i kurzu – tutaj chyba cały czas chce się pić!

Stłoczone idiotyczne baraki sprawiają wrażenie, jakby miały się powywracać przy najslabszym podmuchu. Domek ze śpiewającymi ptakami jest jak moje serce, tylko większy.

Trzeba poczekać na wybicie godziny, żeby zobaczyć, jak wyłaniają się z tarczy; łatwiej regulować zegar, gdy w środku nie ma nic żywego.

Kręcę się dłuższą chwilę, aż w końcu zauważam na ścianie afisz ze zdjęciami, zapowiadający wieczorne spektakle.

*Miss Acacia, flamenco ostro przyprawione,  
22.00 na małej scenie, naprzeciwko pociągu widma.*

Natychmiast rozpoznałem rysy jej twarzy. Cztery lata wertują marzenia, które wreszcie u kresu drogi zmieniają się w rzeczywistość! Czuję się jak pisklak, który ma zawroty głowy, gdy po raz pierwszy próbuje polecieć. Słodki kokon wyobrażeń znika, muszę rzucić się w otchłań.

Papierowe róże przyszyte do sukienki małej śpiewaczki kreślą mapę skarbów na jej ciele. Coś jakby prąd przeszywa mi czubek języka. Jestem jak bomba, która zaraz wybuchnie. Bomba przerażona, ale jednak bomba.

Przemykamy w kierunku sceny i siadamy na krzesłach dla publiczności. Scena to zwykłe podium wzniesione pod daszkiem przyczepy. I pomyśleć, że za kilka chwil ją zobaczę... Ile milionów sekund upłynęło od moich dziesiątych urodzin? Ile milionów razy marzyłem o tej chwili? Euforia, która mnie ogarnia, nie pozwala usiedzieć w miejscu. Tymczasem w mojej piersi dumny wiatrak, gotowy zdmuchnąć wszystko na swojej drodze, stał się małą szwajcarską kukłką.

Ludzie z pierwszego rzędu odwracają się ku nam, zderwowani coraz donośniejszym odgłosem mojego zegara. Méliès odpowiada im swoim kocim uśmiechem. Trzy dziew-

czyny wybuchają śmiechem i mówią coś po hiszpańsku, pewnie coś w stylu: Ci dwaj chyba uciekli z baraku potworów. Przyznają, że przydałoby się nam porządnie odprasować.

Nagle światło gaśnie. Słodkawa muzyka wypełnia przestrzeń, a za kurtyną dostrzegam poruszający się cień. Znajomy cień...

Mała śpiewaczka wchodzi na scenę, stukając wysokimi obcasami żółtych pantofelków. Zaczyna swój taniec ptaszka łapiącego równowagę. Jej głos chudego słowika brzmi jeszcze lepiej niż w moich snach. Chciałbym mieć nieskończoną ilość czasu, żeby spokojnie się jej przyglądać, przyzwycząić serce do jej obecności.

Miss Acacia wygina biodra w łuk, otwiera usta, wygląda to tak, jakby całował ją duch. Zamyka swoje ogromne oczy i pstryka palcami uniesionych rąk niczym kastanietami. Podczas miłosnej pieśni moja kukółka zaczyna kukać. Wstydzę się bardziej niż kiedykolwiek. Jedynie śmiejące się oczy Mélièsa pozwalają mi nie wpaść w panikę. Sposób, w jaki mała śpiewaczka zмага się ze sobą na scenie, wydaje się niestosowny w tak nędznym miejscu. To tak, jakby zapalała własny znicz olimpijski na plastikowej makiecie stadionu.

Po spektaklu wiele osób chce zamienić z nią słowo albo prosi o autograf. Tak jak wszyscy muszę stanąć w kolejce, tylko że ja nie chcę autografu, ja chcę gwiazdki z nieba. Ona i ja ułożeni wśród gwiazd. Słyszę szept Mélièsa:

– Drzwi do jej garderoby są otwarte i nikogo tam nie ma!  
Wkradam się jak włamywacz.

Zamykam drzwi do ciasnej garderoby i spokojnie przyglądam się kosmetyczce Miss Acacii, zastępowi botków z cekinami, schowkom na ubrania, którymi nie pogardziłaby nawet wróżka Dzwoneczek. Ta bliskość jej kobiecości otula mnie przyjemnie, delikatny zapach jej perfum upaja mnie. Przysiadam na brzegu kanapy i czekam.

Nagle drzwi się otwierają. Mała śpiewaczka wchodzi z rozwianą spódnicą. Jej żółte botki przewracają się. Siada przy swojej toaletce. Nawet umarły nie zachowałby się ciszej niż ja.

Zaczyna zmywać makijaż, robi to delikatnie, tak różowy wąż zrzucałby skórę, następnie wkłada okulary.

– Co pan tam robi? – mówi, zauważywszy moje odbicie w lustrze.

„Przepraszam za najście. Od kiedy usłyszałem panią kilka lat temu, miałem tylko jedno marzenie – odnaleźć panią. Przemierzyłem pół Europy, żeby tu dotrzeć. Rozbito mi jaja na głowie i o mało nie zostałem rozpruty przez specjalistę od miłości z martwymi kobietami. Oczywiście, jeśli chodzi o wielką miłość, jestem w pewnym sensie upośledzony i moje serce raczej nie będzie w stanie wytrzymać emocjonalnego trzęsienia ziemi, które przeżywam, kiedy panią widzę, ale *voilà*, ono bije dla pani” – chciałbym wyrzucić z siebie, a tymczasem siedzę ciszej niż płyty nagrobne.

– Jak pan się tu znalazł?

Jest wściekła, ale zaskoczenie łagodzi jej gniew. Sposób, w jaki dyskretnie zdejmuje okulary, zdradza odrobinę ciekawości.

Méliès mnie ostrzegął: „Uważaj, to śpiewaczka, jest ładna, nie jesteś pierwszym, któremu przyszło do głowy ją... To

będzie szczyt uwodzicielstwa, jeśli zachowasz się tak, jakbyś wcale nie zamierzał jej uwieść”.

– Oparłem się o drzwi do pani garderoby, były niedomknięte i wylądowałem na kanapie.

– Często się to panu przydarza? Wylądować na kanapie w garderobie dziewczyny, która zaraz będzie się przebierać?

– Nie, nieczęsto!

Mam wrażenie, że każde wypowiedziane słowo będzie miało ogromne znaczenie; wydobywają się z trudem sylaba po sylabie; ciężar marzenia, które w sobie noszę, staje się wyczuwalny.

– Gdzie pan zazwyczaj ląduje? Bezpośrednio w łóżku czy też pod prysznicem?

– Zazwyczaj nie ląduję.

Próbuję sobie przypomnieć coś z kursu różowej magii Mélièsa. Pokaż się takim, jaki jesteś. Spraw, żeby się śmiała lub płakała, udawaj, że chcesz się z nią zaprzyjaźnić. Interesuj się nią, nie tylko jej pośladkami. Nie požądasz kogoś długo, jeśli zależy ci tylko na pośladkach, czyż nie?

To wszystko prawda, ale teraz, kiedy zobaczyłem je w ruchu, zależy mi bardzo na jej pośladkach, co komplikuje sytuację.

– Czy to nie pan przypadkiem tak diabelnie głośno tykał podczas koncertu? Zdaje mi się, że sobie pana przypominam...

– Pani mnie sobie przypomina?

– Nieważne. Czego pan ode mnie chce?

Zbieram się w sobie i nabieram powietrza.

– Chciałbym pani coś ofiarować. To nie są kwiaty, nawet nie czekoladki...

– A co to takiego?

Wyjmuję z torby pęk okularów i wyciągam do niej, starając się zapanować nad drżeniem rąk. Mimo to drzę, a ten dziwny bukiet klekocze.

Wydyma usta jak kapryśna lalka. Pod tą miną może się kryć zarówno uśmiech, jak i gniew, nie wiem, jak to odczytać. Bukiet zaczyna mi ciążyć, ściska mnie w dołku, boję się śmieszności.

– Co to ma być?

– Bukiet okularów.

– To nie są moje ulubione kwiaty.

Na końcu świata, gdzieś między brodą a wargą rysuje się ledwie zauważalny uśmiech.

– Dziękuję, ale teraz chciałabym się przebrać w spokój.

Otwiera mi drzwi, oślepia ją światło latarni. Wkładam ręce między to światło i jej oczy, czoło rozchmurza się. To cudownie niezręczny moment.

– Nie noszę okularów, z moją małą głową wyglądam w nich jak mucha.

– Bardzo mi się to podoba.

Ta „mucha” przerwała cudowne zakłopotanie, ale przywołałam je na powrót moim „Bardzo mi się to podoba”. Krótka cisza, która następuje, jest słodka niczym burza margerytek.

– Czy moglibyśmy znów się zobaczyć? W okularach albo bez?

– Tak.



Króciutkie „tak” na skraju dzióbka małego ptaszka rozbrzmiewa we mnie jak bohaterska szarża. Różowe dreszcze ruszyły, tykanie przypomina dźwięk naszyjnika z pereł w jej palcach. Czuję się bezmiernie szczęśliwy.

– Przyjęła twój bukiet całkiem powyginanych okularów? – pyta Méliès. – Podobasz się jej! Nie przyjmuje się tak patetycznego prezentu, kiedy nie czuje się tego czegoś! – dodaje radośnie.

Kiedy euforia już opadła, opowiedziałem Mélièsowi kilka szczegółów z naszego pierwszego zaimprovizowanego spotkania i poprosiłem, aby sprawdził mój zegar, ponieważ nigdy wcześniej nie odczuwałem tak silnych emocji. O Madeleine, byłabyś wściekła... Méliès przywdziewa swój wielki wąsaty uśmiech i zabiera się delikatnie do nastawiania zębatek.

– Boli cię gdzieś?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Twoje zębaki są trochę ciepłe, ale to normalne, wszystko działa bardzo dobrze. Chodź, idziemy stąd. To nie wszystko, potrzebujemy porządnej kąpieli i miejsca do spania!

Rozejrzawszy się po „Niezwykłościach”, lokujemy się na noc w opuszczonym baraku. Mimo okropności miejsca i dręczącego głodu zasypiamy jak niemowlaki.

O świcie podejmuję decyzję: muszę znaleźć sobie w okolicy jakąś pracę.

W „Niezwykłościach” nie ma wolnych miejsc. Zajęte wszystko z jednym wyjątkiem: potrzebny jest ktoś do przerażania pasażerów w pociągu widmo. Dzięki ogromnemu uporowi udaje mi się umówić z szefową tego miejsca na spotkanie następnego wieczoru.

Dla zabicia czasu Méliès pokazuje przed wejściem kilka sztuczek ze starymi magicznymi kartami. Ma duże powodzenie, szczególnie wśród kobiet. „Ślicznotki”, jak je nazywa, skupiają się przy jego stole i zachwycają każdym jego gestem. Obiecuje im animowaną opowieść, rodzaj albumu ze zdjęciami, które będą się poruszać. On wie, jak przyciągnąć „ślicznotki”.

Dziś rano widziałem, jak zbierał kartony i wycinał z nich rakiety. Myślę, że nadal zastanawia się, jak odzyskać narzeczoną, znowu zaczyna mówić o podróży na Księżyc. Jego pojazd marzeń pomału nabiera życia.

Kiedy pojawiaam się przed wielkim kamiennym barakiem, w którym znajduje się pociąg widmo, jest szósta po południu. Przyjmuje mnie szefowa, stara pomarszczona kobieta o nazwisku Brigitte Heim.

Usta ma zaciśnięte, odnosi się wrażenie, że w zębach

trzyma nóż. Nosi za duże smutne buty jak sandały zakonnicy – w sam raz, żeby zdeptać marzenia.

– I co, tak po prostu chcesz pracować w pociągu widmo, karzełku?

Jej głos przywodzi na myśl krzyki bardzo niezadowolonego strusia. Ma dar wywoływania natychmiastowego przeżenienia.

– Co potrafisz robić, żeby przestraszyć?

Ostatnie zdanie Kuby Rozpruwacza powraca do mnie niby echo: Szybko nauczysz się przerażać, żeby przetrwać!

Odpinam guziki koszuli i nakręcam zegar, żeby uruchomić kukułkę. Właścicielka obserwuje mnie z taką samą odrazą jak niegdyś paryski zegarmistrz.

– Na tym nie zarobimy milionów! Ale nie mam nikogo, więc cię przyjmę.

Zapominam o dumie, bo naprawdę potrzebuję tej pracy.

Właścicielka zaczyna wyjaśniać:

– Mam umowę z cmentarzem, zbieram czaszki i kości zmarłych, których rodziny nie mogą już opłacać kwatery – oznajmia dumnie, oprowadzając mnie po włościach. – Dobra dekoracja dla pociągu widma, nieprawdaż? W każdym razie, jeśli ja ich nie zabiorę, lądują w śmietniku! Ach, ach, ach! – oznajmia tonem histerycznym i cierpkim zarazem.

Czaszki i sieci pajęczce są metodycznie rozmieszczone, tak aby mogły filtrować światło kandelabrow. Nigdzie ani grama kurzu, nic, co by było zbędne. Zastanawiam się, jaka międzygwiezdna pustka zamieszkuje tę kobietę, że spędza życie na sprzątaniu tych katakumb.

Zwracam się do niej:

– Ma pani dzieci?

– Co za pytanie! Nie, mam psa i jest mi z nim bardzo dobrze.

Jeśli kiedyś się zestarzeję i dopisze mi szczęście, że będę miał dzieci, a może i wnuki, chciałbym urządzić im dom pełen torów wyścigowych, śmiechów i krzyków. Ale jeśli nie będę ich miał, dom pełen pustki też nie wchodzi w rachubę.

– Nie wolno dotykać dekoracji. Jeśli nadepniesz na czaszkę i połamiesz ją, zapłacisz!

„Zapłacić” – to jej ulubione słowo.

Chce wiedzieć, dlaczego przybyłem do Grenady. Opowiadam jej w skrócie moją historię. Powiedzmy, że próbuję, bo bez przerwy wchodzi mi w słowo.

– Nie wierzę w opowieść ani o twoim mechanicznym sercu, ani o miłości. Zastanawiam się, kto wmówił ci takie bzdury. Co ty sobie myślisz? Że zdziałasz cuda tym swoim badziewiem? Spadniesz z wysokiego konia, a jesteś taki mały! Ludzie nie lubią tego, co za bardzo różni się od nich samych. Nawet jeśli spodoba im się przedstawienie, będzie to przyjemność podglądacza. Dla nich zobaczyć kobietę o dwóch głowach to jak przyglądać się wypadkowi. Widziałam, jak oklaskiwało ją wielu, ale żaden się w niej nie zakochał. Z tobą będzie podobnie. Być może znajdą przyjemność w oglądaniu twoich sercowych blizn, ale nigdy nie pokochają cię takiego, jaki jesteś. Czy myślisz, że ładna, młoda dziewczyna, jak mi ją opisujesz, miałaby ochotę kręcić z typkim, który zamiast serca ma protezę? Dla mnie byłoby to odpychające... Tak czy inaczej, jeśli uda ci się przerazić moich klientów, wszyscy będą zadowoleni!

Ohydna Brigitte Heim dołączyła do zastępu miotaczy chłodu. Ale nie ma pojęcia, jak gruba jest już skorupa ma-

rzeń, którą pielęgnuję od dzieciństwa. Jestem najtwardszym żółwiem świata! Myśląc o Miss Acacii, mam ochotę schrupać księżyc, który przypomina fosforyzujący naleśnik. Możesz sobie łązić za mną z tymi uśmieszkami półmartwej i tak niczego mi nie ukradniesz.

Dwudziesta druga. Mój pierwszy wieczór w pracy. Pociąg jest wypełniony do połowy. Za pół godziny kolej na mnie. Nadszedł czas, abym pokazał, że potrafię straszyć. Mam lekką trewę. Za wszelką cenę muszę zachować tę pracę, żebym nadal mógł być sąsiadem małej śpiewaczki.

Przygotowuję moje serce, aby stało się narzędziem strachu. Na szczycie wzgórza zabawiałem się wkładaniem do środka różnych przedmiotów: kamyków, papieru, gazetowych kulek itd. Zębatki zaczynały zgrzytać, tykanie stawało się chaotyczne, a kukółka zachowywała się tak, jakby w moich płucach jeździł miniaturowy buldożer. Madeleine tego nienawidziła...

Dwudziesta druga trzydzieści. Jestem przyczepiony do ściany ostatniego wagonu niczym Indianin zamierzający zaatakować dyliżans. Brigitte Heim obserwuje mnie spode łba. Jak wielkie jest moje zdumienie, gdy zauważam Miss Acację usadowioną spokojnie w wagoniku pociągu widma! Potęgująca się trewa wywołuje tykanie.

Pociąg rusza, przeskakuję z wagonu do wagonu – oto podbój mojego miłosnego Zachodu. Muszę wypaść doskonale. Stawką jest życie! Rzucam się na ścianki pojazdu, kukółka szaleje niczym maszyna do robienia popcornu. Przy-

klejam bardzo zimną małą wskazówkę do pleców pasażerek, intonuję *Oh When the Saints* i myślę o Arthurze. Odpowiada mi kilka wrzasków. *Co robisz, żeby przerazić?! Chciałbym wyjść ze swojej cielesnej powłoki, rzucić na ściany słońce, żeby ona to zobaczyła, żeby ją to rozgrzało i żeby zapragnęła znaleźć się w moich ramionach. Zamiast tego w finale pojawia się na kilka sekund w białym świetle, wyprężając niemożliwie pierś. Odchylam koszulę, widać, jak przy każdym uderzeniu serca zębatki poruszają się pod skórą. Mój występ zostaje powitany zadziwiającym kozim piskiem pani w średnim wieku i namiastką braw zagłuszonych śmiechem.*

Obserwuję Miss Acację z nadzieją, że tak czy owak spodobalem się jej.

Uśmiecha się z przebiegłością złodziejki cukierków.

– To już koniec?

– ?

– Ach, bardzo dobrze, nic nie widziałam, ale wydawało się to naprawdę zabawne, gratulacje! Nie wiedziałam, że to pan, ale brawo!

– Dziękuję... Przymierzyła pani okulary?

– Tak, ale są albo powyginane, albo połamane...

– Tak, wybrałem właśnie takie, żeby mogła je pani nosić bez obawy, że się zniszczą!

– Sądzi pan, że nie noszę okularów, bo boję się je zniszczyć?

– Nie...

Ten jej uśmieszek, lekki jak wodospad pereł muskający cymbały.

– Stacja końcowa, wszyscy wysiadać! – krzyczy podobna do strusia szefowa.

Mała śpiewaczka wstaje i wykonuje w moim kierunku nieznaczący gest dłonią. Nad jej cieniem o harmonijnych kształtach unosi się burza loków. Mimo że bardzo chciałbym zrobić na niej choćby niewielkie wrażenie, jestem raczej zadowolony, że nie widziała, do czego podobne jest moje serce. Mogę tylko marzyć o słońcu w nocy, stara Brigitte obudziła moje dawne demony. Skorupa najtwardszego żółwia świata mięknie czasem w bezsenności.

W oddali rytmicznie stukają trzewiki Miss Acacii. Upajam się tym dźwiękiem aż do chwili, kiedy mała śpiewaczka gwałtownie wpada na drzwi. Wszyscy się śmieją, nikt nie spieszy z pomocą. Chwieje się jak dobrze ubrana pijaczka i znika.

W tym czasie Brigitte Heim zaczęła rozwodzić się nad moim występem, co w moim odczuciu trwa lata świetlne, ale chyba w pewnym momencie słyszę słowo „zapłata”.

Spieszno mi do Mélièsa. Chcę mu opowiedzieć o wszystkim. W drodze, zanurzając ręce w kieszenie, znajduję kawałek zwiniętego w kulkę papieru.

*Nie potrzebuję okularów, żeby zobaczyć, jak świetnie rozkręciłeś swój numer. Podejrzewam, że Twój kalendarz spotkań ma ze dwanaście tomów... Odnajdziesz w nim stronę, na której zapisałeś moje imię?*

Daję tę wiadomość do przeczytania mojemu zegarmi-strzowi magikowi od serca między jednym a drugim rozdaniem kart.

– Hmm, rozumiem... Twoja Miss Acacia nie funkcjonuje tak jak śpiewaczki, które znałem, nie skupia się tylko na sobie. Nie zdaje sobie zatem całkowicie sprawy ze swojej urodzielskiej mocy – co ewidentnie stanowi jej urok osobisty. W dodatku doceniła twój numer. Teraz musisz już iść na całość. I pamiętaj, że nie wie, jak bardzo jest pociągająca. Wykorzystaj to!

Zakradam się pod jej garderobę i wsuwam pod drzwi liścik:

*Punkt dwunasta za pociągami widmem. Proszę nie zapomnieć okularów, inaczej uderzy się Pani o księżyc. Proszę na mnie czekać. Obiecuję, że nie spojrzę na Panią, dopóki ich Pani nie zdejmie.*

– *Anda hombre! Anda!* Nadszedł czas, żeby pokazać jej twoje serce! – powtarza Méliès.

– Boję się, żeby jej nie przestraszyć moimi wskazówkami i tym wszystkim. Na samą myśl, że mnie odrzuci, jestem przerażony... Jestem przerażony, odkąd zacząłem marzyć o tej chwili, wyobrażasz sobie?

– Pokaż jej swoje prawdziwe serce, przypomnij sobie, co ci powiedziałem, to jedyna prawdopodobna sztuczka magiczna. Jeśli zobaczy twoje prawdziwe serce, zegar jej nie wystraszy, wierz mi!

Kiedy oczekuję północy niczym zakochany głupek, upośledzony gołąb Luny siada mi na ramieniu. Tym razem list nie zaginął. Rozkładałam go podekscytowany i wzruszony.



*Mój mały Jacku,  
mamy nadzieję, że radzisz sobie dobrze i dbasz o siebie. Ze  
względu na policję musisz jeszcze poczekać z powrotem do  
domu.*

*Serdeczności*

*Doktor Madeleine*

Przybycie gołębia napełniło mnie szaloną radością, ale treść listu okropnie mnie zawiodła. I ten dziwny podpis: DOKTOR Madeleine. Myślałem, że będzie bardziej wylewna. Bez wątpienia chciała oszczędzić posłańca. Natychmiast odsyłam ptaka:

*Wysyłaj mi długie listy normalną pocztą, niewykluczone,  
że zabawię tu dłużej. Brakuje mi Ciebie. Potrzebuję czegoś  
więcej niż tylko kilku słów przyczepionych do nóżki ptaka.  
U mnie wszystko bardzo dobrze, podróżuję z zegarmistrzem  
magikiem, który czuwa nad moim sercem.*

*Czy policja zostawiła Cię już w spokoju? Odpowiedz jak  
najszybciej!*

*Ściskam i całuję*

*Jack*

*PS. Niezwykłości, 7 calle Pablo Jardim, La Cartura, Gra-  
nada*

Północ. Czekam jak szczęśliwy głupiec. Mam na sobie szalik w kolorze blue électrique, w nadziei, że wydobędzie zieloność moich oczu. Pociąg widmo jest zupełnie cichy.

Dwadzieścia po dwunastej i nic. Wpół do pierwszej

i Miss Acacii ciągle nie ma. Za dwadzieścia druga moje serce stygnie, tykanie cichnie.

– Hej!

– Tu jestem...

Stoi na stopniu, próbując utrzymać równowagę na wycieraczkach. Nawet jej cień przy drzwiach jest seksowny. Gdybym miał poćwiczyć całowanie, zadowolilibym się nawet tym cieniem.

– Przebrałam się za ciebie, nie wiedząc o tym!

Ma na sobie szalik prawie identyczny jak mój.

– Przepraszam, nie miałem czasu, żeby znaleźć prawdziwy randkowy strój, ale widzę, że z tobą było podobnie!

Mówię to z uśmiechem, podczas gdy tak naprawdę w kwestii ubioru wspiałem się na szczyty moich możliwości.

Nie mogę się powstrzymać od śledzenia miękkich ruchów jej ust. Czuję, że zdaje sobie z tego sprawę. Cisza między słowami wydłuża się, dźwięki mojego zegara zaczynają zwracać jej uwagę.

– Odniosłeś duży sukces w pociągu widmie, wszystkie dziewczyny wyszły z uśmiechem na ustach – mówi nagle, uśmiercając przelatującego anioła.

– To niedobry znak. Powinienem *przerażać*, żeby żyć... To znaczy, żeby utrzymać moją posadę.

– Jak długo wyzwalasz emocje, nieważne, czy rozśmieszasz, czy zmuszasz do płaczu, czyż nie?

– Ta stara wiedźma Brigitte powiedziała, że to niedobrze dla wizerunku pociągu widma, jeśli ludzie wychodzą rozbaawieni. Sądzę, że jeśli chcę nadal tu pracować, będę musiał nauczyć się ich przerażać.

– Przeróżanie jest takim samym sposobem uwodzenia jak każdy inny, a jeśli o to chodzi, to wyglądasz na takiego, który dobrze sobie z tym radzi.

Mam ochotę jej powiedzieć, że zamiast serca mam protezę i że zupełnie nie znam się na miłości, chcę, by poczuła, że to, co się teraz dzieje, jest dla mnie wyjątkowe. Owszem, pobrałem u iluzjonisty kilka lekcji różowej magii, ale tylko po to, żeby zdobyć ją. Chciałbym ją uwieść tak, żeby nie uznała mnie za uwodziciela. Dawkowanie jest delikatne. Ni z tego, ni z owego mówię:

– Chciałbym, żebyśmy się przytulili.

Cisza, kolejny grymas niezadowolonej lalki, zamknięte oczy.

– Później będziemy mogli porozmawiać o wszystkim, ale czy najpierw możemy się objąć?

Miss Acacia mówi cichutko „zgoda”, słowo to ledwo wydostaje się z jej ust. Czują cisza ogarnia nasze gesty. Zbliża się, kołysząc ramionami. Z bliska jest jeszcze piękniejsza niż jej cień i zarazem o wiele bardziej onieśmielająca. Proszę jakiegoś nieznanego boga, żeby mój zegar nie zaczął wydzwaniać.

Obejmujemy się, nasze ramiona się łączą. Mój zegar mnie zawstydzą, nie mam odwagi, by mocniej przywrzeć do niej piersią. Nie powinienem jej wystraszyć tym połatanym sercem. Ale czy można nie wystraszyć takiej kobietki króliczka, kiedy ostre wskazówki wystają ci z płuc? Mechaniczna panika ogarnia mnie na nowo.

Odsuwam się lewym bokiem, jakbym miał serce ze szkła. To komplikuje nasz taniec, zważywszy, że ona zdaje się być mistrzynią świata w tangu. Odgłos mojego tykania

wzrasta. Błyskawicznie powracają do mnie zalecenia Madeleine. A gdybym umarł, zanim nawet ją przytulilem? Uczucie skoku w pustkę, radość lotu, strach przed upadkiem.

Palce Miss Acacii słabną na mojej szyi, a moje błędą gdzieś przyjemnie w okolicy jej łopatek. Staram się przekuć marzenia w rzeczywistość, ale pracuję bez maski ochronnej. Nasze usta zbliżają się do siebie. Czas zwalnia, prawie się zatrzymał. Nasze wargi zaczynają wyścig, najprzyjemniejszy wyścig świata. Łączą się delikatnie a mocno. Jej język na moim jest jak rozpościerający skrzydełka wróbelek, co ciekawe, ma smak poziomek.

Patrzę, jak jej ogromne oczy chowają się pod powiekami niczym parasole, i czuję się jak miłośnik górskich wysokośći, Himalaje zamiast lewego ramienia i Góry Skaliste zamiast prawego. Przy mnie Atlas jest tylko harującym karłem, zalewa mnie gigantyczna radość! Pociąg widmo wprawia w drganie swoje duchy przy każdym naszym geście. Stukot jej obcasów o podłogę dochodzi do nas zewsząd.

– Cisza! – wrzeszczy cierpki głos.

Odrywamy się od siebie, podskakując. Obudziliśmy potwora z Loch Ness. Brak nam tchu.

– To ty, karle? Co ty tu wyprawiasz o tej porze?

– Szukam pomysłów, jak straszyć.

– Szukaj w ciszy! I nie dotykaj moich nowiutkich czaszek!

– Tak, tak...

Spanikowana Miss Acacia wtula się we mnie jeszcze mocniej. Czas znowu się zatrzymał i nie za bardzo mam ochotę, żeby zaczął biec swoim normalnym rytmem. Do tego stopnia, że zapominam trzymać moje serce na dystans.

Mała śpiewaczka robi dziwną minę, kiedy przykłada głowę do mojej piersi.

– Co tam masz pod spodem? To kłuje!

Nic nie odpowiadam, ale oblewam się zimnym potem jak zdemaskowany oszust. Zastanawiam się, czy nie skłamać, zmyślić coś, zrobić jakąś sztuczkę, ale w jej pytaniu jest tyle prostoty, że nie robię tego. Pomału odchyłam koszulę, rozpinam guzik po guziku. Wyłania się zegar, tykanie staje się bardziej słyszalne. Czekam na wyrok. Zbliży lewą rękę, szepcząc:

– Co to takiego?

Współczucie, które emanuje z jej głosu, sprawia, że mam ochotę być chory już do końca życia, żeby tylko mieć ją przy sobie jako pielęgniarkę. Kukułka zaczyna wyśpiewywać. Miss Acacia podskakuje. Przekręcając klucz, mamrocze:

– Przykro mi. To mój sekret, chciałem ci go wyznać wcześniej, ale bałem się, że wystraszę cię na dobre.

Wyjaśniam, że ten zegar służy mi jako serce od dnia moich urodzin. Nie wspomina, że miłość, jak i złość są dla mnie zdecydowanie niewskazane z powodu organicznej nieprzystawalności. Pyta mnie, czy moje uczucia mogą się zmienić w razie wymiany zegara i czy przypadkiem nie chodzi tylko o jakiś mechaniczny proces. Jakaś dziwna złośliwość pobrzmiwa w jej głosie, to wszystko zdaje się ją bardzo bawić. Odpowiadam, że mechanizm serca nie może funkcjonować bez uczuć. Nie zapuszczam się jednak dalej na ten grząski teren.

Uśmiecha się, jakbym wyjaśniał jej reguły rozkosznej gry. Żadnego krzyku przerażenia, żadnego śmiechu. Jak do-

tać jedynie Arthur, Anna, Luna i Méliès nie byli zszokowani moim zegarosercem. To dla mnie bardzo ważny znak miłości, kiedy mówi: „Masz kukułkę między żebrami? I co z tego?”. Tak po prostu, zwyczajnie...

Nie powinienem jednak za bardzo dać się ponieść uniesieniu. Może z racji jej niesprawnych oczu mój zegar jest mniej odpychający.

– To dość praktyczne urządzenie. Jeśli zmęczysz się mną jak inni mężczyźni, będę mogła wymienić twoje serce, zanim ty wymienisz mnie na inną.

– Po raz pierwszy całowaliśmy się trzydzieści siedem minut temu, jak pokazuje zegar mojego serca, myślę, że mamy przed sobą jeszcze trochę czasu, zanim zaczniemy myśleć o tym wszystkim.

Nawet jej niedostępność jest pełna uroku.

Odprowadzam Miss Acacię lisim krokiem, obejmuję ją jak lis i znikam, udając lisa.

Właśnie całowałem dziewczynę o języku ptaszka, i nic już nie będzie tak jak przedtem. Mój mechanizm szaleje niczym rozżukany wulkan. Mimo to nic mnie nie boli. No, prawie nic, ukłułem się w bok. Ale to niewysoka cena za tak upajającą radość. Tej nocy wdrapię się na księżyc, ułożę się na rogaliku jak w hamaku i wcale nie będę musiał zasypiać, żeby śnić.

## 8

Następnego ranka Brigitte Heim budzi mnie swoim niemagicznym głosem czarownicy.

– Wstawaj, karle! Dzisiaj masz przerazić ludzi, bo jeśli nie, zwalniam cię, bez zapłaty.

Od rana jej cierpki głos przyprawia mnie o mdłości. Mam miłosnego kaca, a pobudka jest brutalna.

Czy wczoraj wieczorem nie za bardzo pomieszałem marzenia z rzeczywistością? Czy będę miał jeszcze kiedyś prawo do takiego iskrzenia? Już sama myśl łaskocze mi zegar. Doskonale wiem, że postępuję wbrew zaleceniom Madeleine. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy i tak przerażony zarazem.

Wpadam do Mélièsa, żeby sprawdził zegar.

– Twoje serce nigdy nie działało równie dobrze, mój chłopcze – zapewnia. – Powinieneś przejrzeć się w lustrze, kiedy wspominasz, co wydarzyło się zeszłej nocy, zobaczyłbyś w swoich oczach, że barometr twojego serca jest na stałym poziomie.

Cały dzień biegam po pociągu, myśląc, że wieczorem będę mógł jeszcze raz bawić się w alchemika.

Widujemy się tylko w nocy. Jej dumna kokieteria uprzedza mnie o tym, że nadchodzi, bo mała śpiewaczka stale się o coś obija. To jej własny sposób pukania do drzwi pociągu widma. Kochamy się jak dwie żywe zapalki. Nie rozmawiamy, ale rozpalamy się. Nie mówię już o pocałunkach, ale o „pożarze”, moje ciało ogarnia prawdziwe trzęsienie ziemi. Moje serce wymyka się ze swojej koperty-więzienia. Wzlatuje przez arterie i zajmuje miejsce pod czaszką, stając się mózgiem. W każdym mięśniu i aż po koniuszki palców serce! Wszędzie dzikie słońce. Różowa choroba o czerwonych refleksach.

Nie mogę już obejść się bez jej obecności; zapach jej skóry, dźwięk jej głosu, jej sposobiki na bycie najsilniejszą i najbardziej kruchą dziewczyną świata. Jej mania niewkładania okularów, żeby widzieć świat przez zasłonę dymną jej słabego wzroku; jej sposób chronienia się. Widzieć, a tak naprawdę nie dostrzegać, a przede wszystkim nie rzucać się w oczy.

Odkrywam dziwny mechanizm jej serca. Przy bezbrzeżnym braku pewności siebie funkcjonuje w autoochronnej skorupie. To brak pewności siebie idący w parze z niezwykłą determinacją. Iskierki, które wytwarza, kiedy śpiewa, są błyskami jej dwoistości. Jest zdolna wytworzyć je na scenie, ale kiedy muzyka milknie, traci równowagę. Jeszcze nie udało mi się odnaleźć w niej zepsutej zębátky.

Kod dostępu do jej serca zmienia się każdego wieczoru. Czasami skorupa jest twarda jak skała. Na próżno próbuję najróżniejszych kombinacji w formie pieszczot i ciepłych słów – zostaję za drzwiami. Ale bardzo lubię, kiedy skorupka pęka. Słyszeć ten dźwięk, kiedy się otwiera, widzieć



dołeczek w kąciku warg, który zdaje się mówić: „Oddychaj!”. System zabezpieczeń, który odlatuje w delikatnych odpryskach.

– Jak oswoić iskierkę. Oto podręcznik, jakiego potrzebuję! – mówię Mélièsowi.

– Vademecum alchemii absolutnej, chcesz powiedzieć... Tak, tak! Ależ iskierkę nie da się oswoić, mój chłopcze. Chciałbyś się widzieć wygodnie zdomowiony z iskierką w klatce? Spłonęłaby i oparzyła również ciebie, nie mógłbyś nawet zbliżyć się do prętów.

– Nie chcę zamykać jej w klatce, chciałbym tylko dodać jej pewności siebie.

– Alchemia absolutna to właśnie to!

– Powiedzmy, że marzyłem o miłości wielkiej jak Arthur's Seat i że odnajduję się z pasmem górskim, które wyrasta mi tuż pod żebrami.

– To wyjątkowe szczęście, wiesz, niewielu ludzi zbliża się do takiego uczucia.

– Być może, ale teraz, kiedy już go spróbowałem, nie mogę się bez tego obyć! Ale kiedy mała śpiewaczka zamyka się w sobie, nie mam szans.

– Czerp radość z chwil, kiedy to wszystko ci się przytrafia. Ja też znałem iskierkę i mogę ci powiedzieć, że te dziewczyny są jak pogoda w górach: nieprzewidywalne! Nawet jeśli Miss Acacia cię kocha, nigdy nie będziesz w stanie jej ujarzmić.

Nasza miłość jest tajemnicą. We dwoje mamy zaledwie trzydzieści lat. Ona od dzieciństwa jest słynną małą śpiewaczką. Ja jestem obcokrajowcem, który pracuje w pociągu widmie.

„Niezwykłości” funkcjonują jak wioska, wszyscy się tu znają i plotki mają się dobrze. Są zazdrośnicy, sentymentalni, moralizatorzy, skąpcy, odważni i wścibscy, mający zawsze dobre intencje.

Chętnie nie zwracałbym uwagi na to, co powiedzą inni, i całowałbym ją dłużej. Miss Acacia przeciwnie, absolutnie nie chce, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszej tajemnicy.

Początkowo ta sytuacja nam się podobała, czuliśmy się trochę jak piraci, a magiczne uczucie uciekania przed światem pozwalało nam wytrwać.

Ale kiedy uczucie wielkiej miłości nie opuszcza cię po pierwszym wybuchu, staje się jak łódka w wannie. Potrzebuje przestrzeni, coraz więcej przestrzeni... Trudno zachwycać się księżycem, kiedy pragnie się też słońca.

– Pocałuję cię przy wszystkich, niczego nie ryzykujemy.

– Ja też chciałabym całować cię w pełnym słońcu i robić rzeczy, które wszyscy robią. Ale dopóki nas nie widzą, jesteśmy chronieni od plotek. Jeśli ludzie tacy jak Brigitte Heim odkryją nasz sekret, już nigdy nie będziemy żyć w spokoju.

Oczywiście, słodycz słów jest upajająca i chętnie poczułbym ją na języku. Czuję się coraz gorzej, kiedy znika w zakamarkach nocy o zbliżającym się świetle. Jej obcasy, które znaczą tempo jej oddalania się, na nowo przyprowadzają mnie o bezsenność. Gdy wstaje dzień i kiedy ptaki dają mi znać, że na sen nie pozostało już za dużo czasu, bolą mnie od tego plecy.

W ciągu kilku miesięcy nasza miłość przybrała na sile. Nie wystarcza jej już pożywanie się pod osłoną nocy. Przyslijcie nam słońce i wiatr, potrzebujemy wapnia dla kości. Chcę zdjąć maskę romantycznego nietoperza. Chcę miłości w pełnym słońcu.

Minął rok od naszych pierwszych pożarów – sytuacja się nie zmieniła. Nic więcej, nic mniej. Nie udaje mi się zmniejszyć jej strachu przed naszym ujawnieniem się. Méliès radzi cierpliwość w stosunku do Miss Acacii. Studiuję mechanizm jej serca z zapalem, delikatnymi kluczykami próbuję otworzyć zablokowane dziurki. Ale niektóre obszary zdają się być zamknięte na zawsze.

Jej sława śpiewaczki pełnej pasji wykracza już poza „Niezwyczajności”. Lubię słuchać, jak śpiewa w kabaretach sąsiednich miasteczek. Czuć powiew jej ruchów w rytmie flamenco. Pojawiam się tam zawsze po rozpoczęciu spektaklu i znikam przed końcem, żeby nikt nie zauważył mojej stałej obecności.

Po koncertach tłumy dobrze ubranych mężczyzn czekają w deszczu, żeby podarować Miss Acacii bukiet kwiatów większy niż ona sama. Podrywają ją pod moim nosem. Ukryty na skraju lasu cieni, nie mam prawa się pokazać. Rozwodzą się z zachwytem nad talentem wielkiej małej śpiewaczki. Znam ten jej ogień aż po czubki palców, rozpala go

na każdej scenie, na której się pojawia. Znajduję się na marginesie życia społecznego. Kiedy w jej oczach widzę te iskierki z powodu wielkiego bukietu od mężczyzny o zdrowym sercu, straszny płomień ogarnia mnie na nowo. Rewers miłostnego medalu odbija ciemne refleksy, odkrywam, że ja też odczuwam zazdrość.

Tego wieczoru postanawiam przeprowadzić pewien eksperyment, żeby zatrzymać ją w łóżku. Zablokuję wskazówki i zatrzymam czas. Poruszę świat na nowo, tylko jeśli ona mnie o to poprosi. Madeleine zabroniła mi ich dotykać, bo bała się, że zaburzę bieg czasu. Gdyby Kopciuszek miał w sercu zegar, zatrzymałby czas za minutę dwunasta i całe życie byłby na balu.

Podczas gdy Miss Acacia jedną ręką wkłada pantofelki, a drugą poprawia fryzurę, zatrzymuję wskazówkę minut. Kiedy ją uruchamiam, od kwadransa jest czwarta trzydzieści siedem. Tymczasem Miss Acacia znika w cichym labiryncie „Niezwykłości”. Stukotowi jej kroków akompaniują o świecie pierwsze ptaki.

Chciałbym mieć więcej czasu, żeby obserwować do woli jej kostki jak u pisklaka, móc wspiać się po aerodynamicznych łydkach aż do bursztynowych kamyków, które służą jej za kolana. Rozłożyłbym jej uda, żeby wylądować na najśłodszym pasie. Ćwiczyłbym pieszczoty i pocałunki, żeby nie dorównał mi żaden facet na świecie. Za każdym razem, kiedy chciałaby wrócić do siebie, wymierzałbym jej jedno pchnięcie. Blokada czasowa, po której nastąpiłaby lekcja języków zupełnie nieobcych. Potem poruszyłbym świat na

nowo, czułaby się spełniona i nie mogłaby się oprzeć pozostaniu jeszcze kilka prawdziwych minut w moim łóżku. A w tych chwilach wykradzionych czasowi byłaby tylko moja.

Jednak to stare badziewie, które umie doskonale odmierzać upływający czas, tykając podczas mojej bezsenności, odmawia pomocy w magii. Siedzę sam na łóżku i uciskając palcami zębatki, próbuję z lepszym lub gorszym skutkiem złagodzić bóle zegara. O Madeleine, byłabyś wściekła!

Następnego dnia rano postanawiam złożyć wizytę Mélièsowi. Zbudował sobie pracownię, w której ciężko pracuje nad urzeczywistnieniem swojego marzenia o ruszających się fotografiach. Prawie każdego popołudnia przed pójściem do pociągu widma wpadam do niego. Znajduję go zazwyczaj ze „ślicznotkami”. Jednego dnia brunetka o długich włosach, następnego mała ruda. Mimo to nadal pracuje nad podróżą na Księżyc, którą chciał ofiarować kobiecie swojego życia.

– Leczę się z utraconej miłości zastrzykami pocieszenia, to dobre lekarstwo. Czasem szczypie, ale pozwala mi wrócić do równowagi. Różowa magia obróciła się przeciwko mnie; mówiłem ci, żadna sztuczka nie działa za każdym razem. Muszę podszkolić się na nowo, zanim po raz kolejny poddam się wielkiemu uczuciu. Ale nie bierz ze mnie przykładu. Przekuwaj dalej swoje marzenia w rzeczywistość i nie zapominaj o najważniejszym: to w tobie Miss Acacia jest teraz zakochana.

Brigitte Heim każdego dnia grozi, że mnie wyleje, jeśli przeze mnie jej pociąg widmo będzie nadal śmieszny, ale nie przechodzi do czynów z racji ciągle napływających klientów. Wysiłam się, jak tylko mogę, żeby ich przerazić, ale wciąż ich tylko rozśmieszam. Mogę śpiewać *Oh When The Saints*, kulejąc jak Arthur, tłuc jajka na sercu w ciszy na zakręcie w świetle kandelabrow, jeździć smyczkiem po zębatkach, żeby wydobyć z nich skrzypiące melodie, a nawet przeskakiwać z wagonu do wagonu, prawie ludziom na kolana – wszystko na próżno, i tak wszyscy zanoszą się śmiechem. Moje niespodzianki nie wypalają, bo tykanie rozlega się po całym budynku. Pasażerowie wiedzą doskonale, kiedy mam zamiar ich przestraszyć, a niektórzy stali bywalcy nawet śmieją się przed czasem. Méliès uważa, że zdecydowanie jestem za bardzo zakochany, żeby naprawdę straszyć.

Od czasu do czasu Miss Acacia przychodzi, by się przejechać pociągiem widmem. Kiedy widzę, jak sadowi swoje pośladki małego ptaszka na ławeczce wagonika, mój zegar tyka zawsze głośniej. Oczekując nocnego spotkania, przekazuję jej kilka gorących „pożarów”.

Chodź, chodź do mnie, moje kwitnące drzewo, dziś wieczorem zgasimy światło i położę okulary na twoich pączkach. Koniuszkiem gałęzi nakreślisz niebieskie sklepienie i zatrzęsiesz niewidzialnym pniem, który podtrzymuje księżyc. Od nowa sny, jak ciepły śnieg, spadną do naszych stóp. Zapuszczisz korzenie wysokich obcasów mocno w ziemi. Pozwól mi wspinać się po twoim bambusowym sercu, chcę spać u twojego boku.

Zegar wybija północ. Na moim łóżku zauważam kilka wiórków drewna. Mój zegar kruszy się tu i ówdzie. Miss Acacia pojawia się bez okularów, ale ze spojrzeniem tak skupionym, jakby to miało być spotkanie biznesowe.

– Wczoraj wieczorem byłeś dziwny, pozwoliłeś mi odejść, nie mówiąc nawet do widzenia, żadnego pocałunku, nic. Bawiłeś się swoim zegarem jak zahipnotyzowany. Bałam się, że się skaleczysz o wskazówki.

– Przykro mi, próbowałem tylko coś zrobić, żebyś została trochę dłużej, ale nie udało się.

– Właśnie, nie udało się. Nie graj w to ze mną. Kocham cię, ale wiesz, że nie mogę zostawać do rana.

– Wiem, wiem... to właśnie dlatego chciałem...

– Poza tym mógłbyś wyjmować zegar, kiedy jesteśmy we dwoje, robię sobie siniaki, kiedy...

– Wyjmować zegar? Ależ nie mogę!

– Oczywiście, że możesz! Ja nie mam makijażu scenicznego, kiedy jestem z tobą w łóżku!

– Owszem, to ci się zdarza! Całkiem naga, z pomalowanymi oczami, jesteś bardzo piękna.

Między jej rzęsy wdziera się leciutki promyk.

– Ale ja nie mogę wyjąć zegara, to nie jest gadżet!

W odpowiedzi wykrzywia swoje duże miękkie usta, jakby chciała powiedzieć: „Nie wierzę ci nawet w sześćdziesięciu procentach...”.

– Wiesz, lubię twoje marzenia, ale czasem trzeba zejść na ziemię, trzeba dorosnąć. Nie przeżyjesz życia ze wskazówkami, które wystają ci spod płaszczu – oznajmia mentorским tonem.

Od naszego pierwszego spotkania nigdy nie byłem tak daleko jej ramion, będąc jednocześnie w tym samym pokoju.

– A jednak. Naprawdę funkcjonuję w ten sposób. Ten zegar jest częścią mnie, to on sprawia, że moje serce bije, jest mi niezbędny do życia. Muszę sobie z nim radzić. Próbuje korzystać z tego, kim jestem, żeby znaleźć się poza tym, żeby istnieć. Dokładnie tak jak ty na scenie, kiedy śpiewasz, to to samo.

– To nie to samo, łotrze! – mówi, przejeżdżając mi paznokciami po tarczy.

Myśl, że może jej się wydawać, iż mój zegar to „gadżet”, mrozi mi krew w żyłach. Nie mógłbym jej kochać, gdybym uważał, że jej serce jest sztuczne, nieważne, czy byłoby ono ze szkła, z ciała czy skorupki jajka.

– Zachowaj je, jeśli chcesz, ale uważaj na wskazówki...

– Czy wierzysz mi w stu procentach?

– Powiedziałabym, że w siedemdziesięciu, to ty masz udowodnić, że mogę ci wierzyć na sto procent, mój mały Jacku...

– Dlaczego uważasz, że brakuje mi trzydziestu procent?

– Bo dobrze znam mężczyzn.



- Nie jestem jednym z „mężczyzn”.
- Tak sądzisz?
- Tak!
- Jesteś urodzonym oszustem! Nawet twoje serce to oszustwo!
- Jedyne, co we mnie prawdziwe, to właśnie serce!
- Zawsze spadasz na cztery łapy, ale to też w tobie lubię.
- Nie chcę, żebyś lubiła „to” we mnie, chcę, żebyś lubiła mnie całego.

Jej powieki jak czarne parasole mrugają w rytm tykania mojego serca. Cień rozbawienia i powątpiewania błąka się w kąciку ust, których nie całowałem już zbyt długo. Palpitacje pod tarczą przyspieszają. Pojawia się dobrze znane łaskotanie.

Dołączają do nich uderzenia bębna, nawołujące do słodkich rzeczy. Dostrzegam zarys dołeczków.

– Kocham cię całego – konkluduje.

Kładzie dłonie w strategicznym miejscu, aż brakuje mi tchu. Moje myśli rozplywają się w ciele. Gasi światło.

Szyja Miss Acacii jest usiana maleńkimi piegami, a ich konstelacja sięga aż do piersi. Staję się astronomem jej skóry, wtykam nos w te gwiazdy. Spoglądam pożądliwie na jej otwarte usta, krew we mnie buzuje, między nogami czuję ogień. Delikatnie muskam jej skórę, jest dla mnie niczym najpiękniejszy kwiat. Z jej dłoni płynie delikatny prąd elektryczny. Zbliżam się jeszcze bardziej.

– Żeby poprawić poziom mojej wiarygodności, dam ci klucz do swego serca. Nie będziesz mogła go wyjąć, ale w każdej chwili będziesz mogła zrobić z nim, co zechcesz i kiedy zechcesz. Jednakże to ty jesteś kluczem, który całko-

wicie mnie otwiera. A ty, skoro ja ci całkowicie ufam, włożysz okulary i pozwolisz mi spojrzeć w twoje oczy przez szkła, dobrze?

Moja mała śpiewaczka zgadza się i odgarnia włosy do tyłu. Odsłania gwałtownie oczy pięknej łani. Potem wkłada okulary od Madeleine i przekrzywia głowę. O Madeleine, gdybyś to widziała, byłabyś wściekła!

Mógłbym mówić, że wygląda nadzwyczaj pięknie, ale skoro i tak by mi nie uwierzyła, głaszczę tylko jej dłoń. Pojawia się myśl, że może, kiedy widzi mnie takiego, jaki jestem, nie będę się jej już podobał. Teraz z kolei ja zaczynam się niepokoić.

Kładę klucz na prawej dłoni. Mam treść, słyszeć jakby hałas małego pociągu.

– Po co są te dwie dziurki?

– Po prawej, żeby otworzyć zegar, po lewej, żeby go nakręcić.

– Mogę otworzyć?

– Możesz.

Delikatnie wkłada kluczyk do prawej dziurki. Zamykam oczy, potem otwieram, tak jak wtedy, gdy się długo całujemy, kiedy chcę zobaczyć „iskierkę”.

Ma zamknięte oczy, tak cudownie zamknięte. To moment zadziwiającego spokoju. Chwyta zębatkę kciukiem i palcem wskazującym, powoli, nie zwalniając mechanizmu. Fala łez wzbiera nagle i zalewa mnie. Mała śpiewaczka zwalnia delikatny uścisk i krany smutku przestają cieknąć. Miss Acacia pięści drugą zębatkę – czyżby łaskotała mnie w serce? Podśmiewam się lekko, to zaledwie dźwięczny uśmiech. I wtedy, nie wypuszczając z dłoni prawej zębatki, chwyta ponownie

lewą. Kiedy wpija mi usta aż po zęby, czuję się jak dotknięty przez błękitną wróżkę, tę z *Pinokia*, ale bardziej prawdziwą. W dodatku to nie nos mi się wydłuża. Ona to wyczuwa, przyspiesza ruchy, ciśnienie w zębatkach podnosi się. Z ust wydobywają mi się dźwięki, których nie mogę powstrzymać. Jestem zaskoczony, zażenowany, ale przede wszystkim podniecony. Manipuluje moimi zębatkami, jakby to były potencjometry, moje westchnienia stają się coraz głośniejsze.

– Mam ochotę wziąć kąpiel – szepcze.

Daję znak, że się zgadzam. Zresztą nie wiem, z czym mógłbym się teraz nie zgodzić. Zrywam się na równe nogi i idę do łazienki, żeby przygotować gorącą kąpiel.

Staram się być cicho, żeby nie obudzić Brigitte. Słysząc, jak kaszle za ścianą.

Srebrne refleksy tworzą wrażenie, jakby niebo i gwiazdy wpadły do wanny. To cudowne, że taki zwykły kran w ciszy nocy rozdaje łagodne gwiazdki. Wchodzimy do wody powoli, żeby nie rozpryskiwać tej rozkoszy. Jesteśmy dwoma makaronikami wśród gwiazd. Kochamy się najwolniej na świecie, używamy jedynie języków. Chłupot wody sprawia, że czujemy, jakbyśmy byli w swoich brzuchach. Rzadko kiedy doznawałem czegoś tak przyjemnego.

Wyszeptujemy krzyki. Musimy się powstrzymywać. Miss Acacia nagle wstaje, odwraca się i zamieniamy się w zwierzęta z dżungli.

Padam jak martwy, niczym w westernie, a ona jęczy leniwie. Kukułka drze się jak szalona. O Madeleine...

Miss Acacia zasypia. Tulę ją przez dłuższą chwilę. Długie pomalowane rzęsy podkreślają jej porażającą urodę. Jest tak pociągająca, że zastanawiam się, czy zawód śpiewaczki

nie przygotował jej do pozowania urojonym malarzom, nawet kiedy śpi. Przypomina obraz Modiglianiego, obraz, który troszeczkę chrapie.

Życie małej śpiewaczki, które ciągle się rozwija, zaczyna swój bieg już następnego dnia rano. Otaczają ją ludzie, którzy jak wcielone duchy kręcą się koło niej bez konkretnego celu.

Cała ta wyperfumowana fauna przeraża mnie bardziej niż sfora wilków nocą przy pełni księżyca. Wszystko złudne, pogawędki bezsensowne jak pusty grobowiec rodzinny. Widzę, że jest jednak dość odważna, żeby pływać w tej kipieli strasu i błota.

Pewnego dnia wyślą mi ją na Księżyc, żeby sprawdzić reakcje ufoludków na erotyzm. Będzie śpiewała, tańczyła, odpowie na pytania dziennikarzy z Księżyca, zrobią jej zdjęcia i skończy się tak, że nie wróci nigdy. Czasem myślę sobie, że brakuje jeszcze tylko Joego w roli zepsutej wisienki na spleśniałym torcie.

W następnym tygodniu Miss Acacia śpiewa w Sewilli. Wyciągam platformę na kółkach zrobioną przez Mélièsa i przemierzam czerwone góry, żeby po spektaklu odnaleźć ją w pokoju hotelowym.

W drodze gołąb pocztowy przynosi mi kolejny list od Madeleine. Zaledwie kilka słów, słów, które w ogóle do niej nie pasują. Tak bardzo chciałbym, by list był dłuższy... Chciałbym, żeby poznała Miss Acacię. Oczywiście Made-

leine obawiałyby się miłości, ale osobowość małej śpiewaczki na pewno by się jej spodobała. Myśl o tych dwóch lwicach rozmawiających ze sobą staje się słodkim snem, który nie przestaje mnie kołysać.

Dzień po koncercie przechadzamy się po Sewilli jak para zakochanych. Temperatura jest przyjemna, ciepły wiatr pieści nam skórę. Nasze palce nie potrafią zachowywać się w środku dnia jak palce normalnych ludzi. Nocą, prowadzone pożądaniami, wyczuwają się bezbłędnie, ale teraz można odnieść wrażenie, że mamy cztery lewe ręce, nieumiejące napisać „dzień dobry”. Jesteśmy niezdarni od stóp do głów jak para wampirów, która wybrała się na targ bez okularów słonecznych. Szczyt romantyzmu. Dla nas spokojny spacer brzegiem rzeki Guadalquivir to szczyt erotyzmu.

Nad tym szczęściem prostym i oczywistym unosi się jednak złowieszcza chmura. Jestem dumny z Miss Acacii jak nigdy z niczego, ale w miarę upływu czasu rozochoczone spojrzenia samców przyprawiają mnie o coraz większą zazdrość. Przekonuję sam siebie, że pewnie bez okularów mała śpiewaczka nie widzi tego stada bardziej atrakcyjnych ode mnie. Mimo to czuję się samotny pośród coraz większego tłumu, zbierającego się, żeby ją podziwiać, kiedy tymczasem ja muszę na powrót stać się obcokrajowcem i wrócić na swój strych cieni.

Czuję się jeszcze bardziej samotny, ponieważ ona nie dopuszcza myśli, że cierpię. Mam wrażenie, że nadal nie wierzy w moje zegaroserce.

Nie opowiadałem jej jeszcze, że przez to moje serce

z przypadku zachowywałem się równie niebezpiecznie jak diabełek opychający się od rana do wieczora eklerkami z czekoladą. Nie jestem pewien, czy mam ochotę opowiadać jej o tym. Jeśli miałbym wierzyć w teorie Madeleine, to jestem teraz na granicy śmierci.

Czy stanę na wysokości zadania? Czy mój gruchot wytrzyma?

A żeby jeszcze doprawić ten i tak już pikantny sos, Miss Acacia jest równie zazdrosna jak ja. Kiedy nagle w polu widzenia pojawia się obok mnie niezbyt starannie uczesany kok, marszczy brwi jak lwica gotowa do skoku.

Na początku to mi schlebiało, dodawało skrzydeł, mogłem pokonywać wszelkie przeszkody, byłem pewien, że mi ufa. Ale kiedy odkryłem, że uważa mnie za oszusta, stałem się bardziej wrażliwy. W mojej nocnej samotności straciłem wiarę w siebie.

Nasza historia to już nie pikantny sos, to zupa z kolców.

## 10

Pewnego dnia w pociągu pojawił się jakiś dziwny typ – starał się o moją robotę. Tego dnia zupa z kolców zaczęła stawać mi w gardle.

Jest wysoki, bardzo wysoki. Jego głowa zdaje się wystawać przez dach pociągu widma. Prawe oko zasłania mu kawałek czarnego materiału. Lewym bada „Niezwykłości” niczym latarnia morska morze swoim światłem. Zatrzymuje się w końcu na sylwetce Miss Acacii. I już jej nie opuszcza.

Brigitte, która straciła nadzieję, że w końcu zrobię spektakl przerażania, zatrudnia go natychmiast. Zostaję zwolniony. Wszystko dzieje się bardzo szybko, za szybko jak dla mnie. Będę musiał poprosić Mélièsa, żeby przyjął mnie do swojej pracowni. Nie wiem, jak w tych warunkach przetrwa moja cenna intymna relacja z małą śpiewaczką.

Dziś wieczorem Miss Acacia śpiewa w jakimś teatrze w mieście. Jak zwykle wślizguję się po pierwszej piosence i chowam z tyłu. Nowy z pociągu siedzi w pierwszym rzędzie. Jest tak wysoki, że zasłania połowie sali. Ja w każdym razie nie widzę nic.

To oko wymierzone w oczy Miss Acacii sprawia, że aż

gotuje mi się pod koszulą. Przez cały wieczór, nawet po koncercie, nie spuścił z niej tego swojego halogenu. Mam ochotę powiedzieć temu wędrownemu stojakowi, żeby spadał. Jednakże powstrzymuję się. Moje serce nie omieszkuje się wydrzeć dolnym, nieco fałszywym la. Cała sala odwraca się i wybucha śmiechem. Kilka osób pyta, jak wydają takie dziwne dźwięki, potem jeden rzuca:

- Znam cię! To ty rozśmieszasz w pociągu widmie!
- Od wczoraj już tam nie pracuję.
- A to przepraszam... W każdym razie bardzo zabawny gadżet.

Znowu jestem na szkolnym dziedzińcu. Cała pewność siebie zdobyta w ramionach Miss Acacii ulatnia się. Rozpadam się powoli.

Po spektaklu trudno mi nie zwrócić uwagi na to, co wykrzykuje wybranka mojego serca:

- Ten wielki osiłek? Pfff...
- Zdaje się, że go zahipnotyzowałaś.
- Ciągłe mówisz o zaufaniu, a robisz awanturę o tego jednookiego pirata?
- Nie robię ci wymówek, dobrze widzę, że to on kręci się wkoło jak rekin.

Jestem wytracony z równowagi, bo nawet jeśli jej ufam, wiem, że ten pirat zrobi wszystko, żeby ją uwieść. Pewien rodzaj spojrzeń nie może mylić, nawet jeśli wysyła je tylko jedno oko. Tym gorzej, bo ich intensywność jest zdwojona.

Zupa z kolców staje się naprawdę zbyt ostra, kiedy jednooki osiłek zbliża się do nas i mówi:

- Nie poznajecie mnie?

Gdy to mówi, długi dreszcz przebiega mi po kręgosłupie.



Tego uczucia, które znam dobrze i nienawidzę jak niczego innego, nie zapomniałem od czasów szkoły.

– Joe! Co ty tu robisz?! – wykrzykuje Miss Acacia zawstydzona.

– Odbyłem długą podróż, żeby was odnaleźć, bardzo długą podróż...

Mówi powoli. Poza okiem i kilkoma włoskami na brodzie nie zmienił się. Dziwne, że nie poznałem go od razu. Nie dociera do mnie, że Joe jest tu naprawdę. Żeby dodać sobie odwagi, powtarzam: „To nie twoje środowisko, Joe, wrócisz szybko w otchłań szkockich mgieł”.

– Wy się znacie? – pyta Miss Acacia.

– Chodziliśmy razem do szkoły. Jesteśmy... powiedzmy... dawnymi znajomymi – odpowiada, uśmiechając się.

Jestem sparaliżowany nienawiścią. Chętnie natychmiast wyłupiłbym mu drugie oko, żeby wracał, skąd przyszedł, ale przed moją małą śpiewaczką próbuję zachować spokój.

– Będziemy musieli porozmawiać – mówi Joe, wpatrując się we mnie swoim zimnym okiem.

– Jutro w południe, przed pociągiem widmem, jeden na jednego.

– Zgoda. I nie zapomnij wziąć ze sobą zapasowych kluczy – odpowiada.

Tego samego wieczora Joe rozlokowuje się w moim dawnym pokoju. Będzie spał w łóżku, w którym Miss Acacia i ja baraszkowaliśmy po raz pierwszy, będzie chodził korytarzami, w których całowaliśmy się tak często, dostrzegając resztki naszych snów w lustrach... Z łazienki, gdzie przebywamy, słyszymy, jak rozkłada swoje rzeczy.

– Joe to jeden z twoich dawnych wielbicieli, tak?

– Och, zaraz wielbicieli... byłam dzieckiem. Kiedy go teraz widzę, zastanawiam się, jak mogłam interesować się chłopakiem takim jak on!

– Ja też się nad tym zastanawiam... Ciebie zresztą też o to pytam!

– On był w pewnym sensie szkolnym przywódcą, wtedy wszystkim imponował. Byłam bardzo młoda i tyle. Jaki dziwny zbieg okoliczności, że oboje go znamy!

– No nie bardzo.

Nie chcę jej opowiadać historii z okiem. Boję się, żeby nie uznała mnie za groźnego maniaka. Czuję, jak wokół mnie nieodwołalnie zamyka się pułapka. Obsesyjnie wraca jedna myśl: Joe jest tu, a ja nie wiem, jak poradzić sobie z tą sytuacją.

– Dlaczego chciał, żebyś wzięła zapasowe klucze?

– Brigitte Heim zatrudniła go w pociągu na moje miejsce. Od dzisiejszego wieczoru zajmuje też mój pokój.

– Ta kobieta nic nie rozumie.

– Problemem jest Joe!

– I tak by cię zwolniła, wiesz przecież. Znajdziemy sobie inne kryjówki, zobaczysz... Jeśli będzie trzeba, będziemy spędzać noce na cmentarzu i w ten sposób będziesz miał okazję podarować mi prawdziwe kwiaty.

Chodź, nie bój się, szybko znajdziesz pracę gdzieś indziej. Może nawet nie będziesz musiał już przerażać, żeby żyć. Jestem przekonana, że koncentrując się na tym, co potrafisz, znajdziesz coś o wiele lepszego niż pociąg widmo. I nie rób dramatu z powrotu Joego. Nie chcę nikogo oprócz ciebie, wiesz o tym?

Tych kilka słów zapala się we mnie i natychmiast gaśnie.

Strach tka mi w gardle pajęczyny, głos więźnie w pułapce. Chciałbym okazać się silny, ale jestem całkiem załamany. Ano, stary doboszu, musisz wytrzymać cios!

Próbuję znów uruchomić mechanizm serca, ale nie udaje się, zanurzam się w ciemnych mgłach mojego dzieciństwa. Tak jak w szkole – strach przejmuję kontrolę. O Madeleine, byłabyś wściekła... Tak bym chciał, żebyś przyszła i szepnęła mi do ucha dziś wieczorem: *Love is dangerous for your tiny heart*. W tej chwili tak bardzo cię potrzebuję...

Słońce bije o dach pociągu widma. Na zegarze mojego serca jest punkt dwunasta. Kiedy czekam na Joego, moja skóra rudzielca delikatnie różowieje. Trzy sępy krążą w ciszy.

Wrócił, żeby się zemścić, a gdyby zabrał mi Miss Acacie, byłaby to zemsta doskonała, wiem to. Czekam na niego. Arkady Alhambry połykają cienie ptaków. Kropla potu szkli mi się na czole i spada na prawe oko. Sól wywołuje łzę.

Joe pojawia się na rogu głównej ulicy, która biegnie przez „Niezwykłości”. Trzęsę się, bardziej z wściekłości niż ze strachu. Przybieram nonszalancką pozę, podczas gdy pod skórą zwęgłają się zębaki. Palpitacje są głośniejsze niż odgłosy łopaty grabarza.

Joe staje nieruchomo jakieś dziesięć metrów dalej, zwrócony twarzą do mnie. Jego cień liże kurz kroków.

– Chciałem zobaczyć cię znowu, ale nie po to, żeby się zemścić, jak pewnie myślisz.

Jego głos nadal jest bronią napawającą przerażeniem. Tak jak głos Brigitte Heim ma dar rozbijania szyb moich snów.

– Nic nie myślę. Upokarzałeś mnie i znęcałeś się nade

mną przez lata. Pewnego dnia to się obróciło przeciwko tobie. Myślę, że jesteś mi kwita.

– Przyznaję, że robiłem ci krzywdę, spychając cię w szkole na margines. Zrozumiałem twoje cierpienie dopiero, kiedy straciłem oko. Widziałem przerażone spojrzenia. Czułem, jak ludzie zmieniają swój stosunek do mnie. Niektórzy omijali mnie, jakby to było zaraźliwe, jakby rozmawiając ze mną, sami mieli stracić oczy. Dzień po dniu docierało do mnie, jakie zło mogłem ci wyrządzić...

– Ale, jak sądzę, nie przejechałeś przecież połowy Europy, żeby mnie przeprosić.

– Masz rację, nie po to przyjechałem. Mamy jeszcze rachunki do uregulowania. Nigdy nie zastanawiałeś się, dlaczego uwziąłem się na ciebie?

– Na początku, owszem... Próbowałem nawet z tobą porozmawiać, ale zachowywałeś się jak ceglany mur. Wiesz, mieszkalem u „czarownicy, która wyciągała dzieci z brzuchów prostytutek”, bez wątpienia sam „wyszedłem z brzucha dziwki”, żeby wspomnieć to, co powtarzałeś mi uprzejmie całymi dniami... Poza tym byłem nowy, najmniejszy w klasie, moje serce wydawało dziwne dźwięki, łatwo było się ze mnie nabijać i górować nade mną fizycznie. Jednym słowem idealna ofiara... Aż do tego pamiętnego dnia, kiedy przekroczyłeś granice.

– To po części prawda. Przede wszystkim jednak uwziąłem się na ciebie, bo pierwszego dnia zapytałeś, czy znam „małą śpiewaczkę”, jak to wtedy powiedziałaś. Tamtego dnia podpisałeś na siebie wyrok śmierci. Byłem szaleńczo zakochany. Cały rok szkolny poprzedzający twoje pojawienie się próbowałem bezskutecznie zbliżyć się do Miss Aca-

cii. Pewnego wiosennego dnia, kiedy jeździła na łyżwach po zamarznętej rzece, podśpiewując, jak to ma w zwyczaju, załamał się pod nią lód. Dzięki długim nogom i rękom udało mi się ją wyciągnąć, ale mogła umrzeć. Ciągłe widzę ją, jak trzęsie się w moich ramionach. Od tego dnia aż do początku lata nie rozstawaliśmy się. Nigdy nie czułem się tak szczęśliwy. Przez całe wakacje marzyłem o tym, żeby ją zobaczyć. Tymczasem w pierwszym dniu szkoły dowiedziałem się, że została w Grenadzie i nikt nie wie, kiedy wróci.

Słowo „marzyłem” w ustach Joego przywodzi mi na myśl niemieckiego pastucha, który próbując rogalika, uważa, żeby go nie pokruszyć na skórzaną kamizelkę.

– Tego samego dnia zjawiasz się ty niczym chochlik przyniesiony w tornistrze i mówisz, że chcesz ją zobaczyć, by podarować jej okulary! Nie dość, że cierpiałem z powodu jej nieobecności, pojawiłeś się ty, żeby podsycić moją zazdrość i unaocznić mi wyraźnie to, co mamy wspólnego do tej pory: naszą szaloną miłość do Miss Acacii. Pamiętam, jak głośno pracowało twoje serce, kiedy o niej mówiłeś. Znienawidziłem cię natychmiast. Twoje tykanie było niczym narzędzie odmierzające czas, który upływał bez niej. Narzędzie tortur wypełnione twoimi marzeniami o miłości do *mojej* Miss Acacii.

– To nie usprawiedliwia codziennych upokorzeń, które kazałeś mi znosić, nie mogłem wiedzieć, co się wydarzyło, nim pojawiłem się w szkole.

– Wiem, ale codzienne upokorzenia są niczym w porównaniu z tym!

Odsłania opaskę, jego oko wygląda jak białko jajka posdeszłe krwią i porzeczinane szaroniebieskimi żyłkami.

– Już ci mówiłem, to kalectwo nauczyło mnie wiele o mnie samym i o życiu. W tym, co dotyczy nas dwóch, zgadzam się z tobą. Jesteśmy kwita.

Ostatnie zdanie wymawia z niezmiernym trudem. A mnie niezmiernie trudno przychodzi zaakceptować to, co mówi, i nagle odpowiadam:

– Byliście kwita. Wracając tu, znowu dobrałeś się do mnie!

– Nie przychodzę, żeby się na tobie mścić, już ci mówiłem. Przychodzę, żeby zabrać Miss Acacię do Edynburga. Od lat myślałem o tej chwili. Nawet kiedy całowałem inne dziewczęta. Twoje cholerne tykanie tak bardzo dźwięczało w mojej głowie, że mam wrażenie, jakbyś – wybijając mi oko – zaraził mnie swoją chorobą. Jeśli nie będzie mnie chciała, odejdę. W przeciwnym razie to ty będziesz musiał zniknąć. Nie żywię już do ciebie urazy, ale nadal ją kocham.

– A ja nadal żywię do ciebie urazę.

– Będziesz musiał sobie z tym poradzić. Jestem tak samo godzien Miss Acacii jak ty. To będzie walka w starym stylu, a jedynym sędzią będzie ona. Niech zwycięży lepszy, mały Jacku.

Znowu się uśmiecha w ten zbyt dobrze znajomy sposób i wyciąga do mnie dłoń o długich palcach. Kładę na niej klucze do mojego pokoju. Mam obrzydliwe przeczucie, że oddaję mu tym samym klucze do serca Miss Acacii. Robiąc to, zdaję sobie sprawę, że czas zabawnej magii z moim płomyczkiem w okularach już minął.

Marzenia o domku nad brzegiem morza, gdzie moglibyśmy przechadzać się w spokoju zarówno w dzień, jak i w nocy. Jej skóra, uśmiech, cięty dowcip, iskierki jej natury, któ-

re rodziły we mnie pragnienie pomnożenia się przez nią. Ten „realistyczny sen” trzymający się ziemi to było wczoraj. Joe przyjechał po nią. Pograżam się w oparach moich najdawniejszych demonów. Ostrza mojego zegara kurczą się na delikatnej tarczy. Jeszcze nie zostałem pokonany, ale boję się, bardzo się boję.

Zamiast obserwować, niczym szczęśliwy ogrodnik, jak rośnie brzuch Miss Acacii, będę musiał po raz kolejny wyjąć z szafy zbroję, żeby zmierzyć się z Joem.

Tego wieczoru Miss Acacia pojawia się w drzwiach mojego pokoju z iskierkami złości w oczach. Próbując zamknąć źle spakowaną walizkę, czuję, że najbliższe minuty będą burzliwe.

– Och, och! Uwaga na pogodę w górach! – rzucam w jej stronę, żeby rozładować atmosferę.

Mimo że zazwyczaj jest niezrównanie słodka, dziś w jednej chwili zamienia się w baryłkę pełną piorunów.

– A więc tak po prostu wybijasz ludziom oczy! W kim ja się zakochałam?

– Ja...

– Jak mogłeś zrobić coś tak okropnego? Wy-bi-łeś-mu-o-ko!

To wielki chrzest ognia, tornado flamenco i kastaniet z prochu oraz wysokich obcasów wbitych między nerwy. Nie spodziewałem się tego. Szukam jakiejś odpowiedzi. Nie daje mi na to czasu.

– Kim naprawdę jesteś? Jeśli mogłeś ukryć przede mną tak poważne zdarzenie, co jeszcze zataiłeś?

Ze złości wytrzeszcza oczy, ale gorszy do zniesienia jest ich smutek.

– Jak mogłeś ukryć przede mną coś tak potwornego? – powtarza niestrudzenie.

Ten łajdak Joe zapalił najczarniejszy lont, odkrywając moją przeszłość. Nie chcę okłamywać mojej małej śpiewaczki, ale też nie chcę wszystkiego jej opowiadać. To jednak, trzeba przyznać, jest częściowym kłamstwem.

– Zgoda, wybiłem mu oko. Wolałbym, żeby to się nigdy nie stało, tego jestem pewien. Ale chyba zapomniał ci powiedzieć o tym, co ON kazał mi znosić przez lata, a co najważniejsze, DLACZEGO mi to wszystko robił... Joe sprawił, że przeżyłem najczarniejsze godziny mojego życia. W szkole byłem jego ulubioną ofiarą. Wyobraź to sobie! Nowy, mały, z sercem wydającym dziwne dźwięki... Joe nieustannie mnie upokarzał, dawał mi odczuć, jak bardzo do nich nie pasowałem. Stałem się dla niego swoistą zabawką. Jednego dnia rozbijał mi na głowie jajko, następnego wyginał mi zegar, każdego dnia coś i zawsze publicznie.

– Wiem, że bywa nadęty i lubi zwracać na siebie uwagę, ale nigdy nie robi nic naprawdę złego. Na pewno nie było powodu, żebyś zachował się jak kryminalista!

– Nie wybiłem mu oka z powodu jego zaczepek, problem leży gdzie indziej.

Wspomnienia napływają jak fale, słowa z trudem zachowują rytm. Dotknięty do żywego, zawstydzony i smutny zarazem, staram się, jak tylko mogę, zachować spokój.

– Wszystko zaczęło się w dniu moich dziesiątych urodzin. Mój pierwszy raz w mieście, pamiętam, jakby to było wczoraj. Najpierw usłyszałem, jak śpiewasz, potem cię za-



uważyłem. Moje wskazówki zwróciły się ku tobie, jakby przyciągane przez pole magnetyczne. Moja kukułka zaczęła śpiewać. Madeleine powstrzymywała mnie. Uwolniłem się z jej objęć, żeby stanąć przed tobą. Odpowiadałem ci, jak w niezwykłym musicalu. Śpiewałaś, ja odpowiadałem, rozmawialiśmy w języku, którego nie znam, ale rozumieliśmy się. Tańczyłaś, a ja tańczyłem z tobą, mimo że nie umiałem tańczyć! Wtedy wszystko było możliwe!

– Przypominam to sobie. W momencie, kiedy zobaczyłam cię siedzącego w mojej garderobie, wiedziałam, że to ty. Mały obcokrajowiec z czasów, kiedy miałam dziesięć lat, ten sam chłopiec uśpiony na dnie moich wspomnień. Tak, to byłeś ty...

W jej głosie ciągle słyszeć smutek.

– Przypominasz to sobie... Przypominasz sobie, że byliśmy zamknięci w swoistej bańce? Trzeba było całej siły Madeleine, żeby mnie z niej wyrwać!

– Stałam na swoich okularach, a potem włożyłam je całe powyginane.

– Tak! Okulary z plastrem na prawym szkłe! Madeleine mi wyjaśniła, że stosowano takie metody, żeby pobudzić do pracy słabsze oko.

– Tak, to prawda...

– Od tamtego dnia nie przestawałem marzyć o odnalezieniu ciebie. Kiedy dowiedziałem się, że chodzisz do szkoły, błagałem Madeleine, żeby mnie tam zapisała. Czekałem długo, co najmniej ze dwa lata, ale zamiast ciebie spotkałem Joego. Joego i jego lożę szyderców. Pierwszego dnia w szkole na moje nieszczęście spytałem, czy ktoś nie zna „małej eleganckiej śpiewaczki, która o wszystko się objija”. Można po-

wiedzieć, że tym samym podpisałem na siebie wyrok śmierci. Joe tak bardzo nie mógł pogodzić się z tym, iż nie ma cię u jego boku, że cała jego frustracja skupiła się na mnie. Czuł, jak bardzo cię pragnę, i to podsycalo tylko jego zazdrość. Każdego ranka wchodziłem do szkoły z przerażeniem, które nie opuszczało mojego brzucha przez cały dzień. Znosiłem jego ataki przez trzy lata. Aż do tego dnia, kiedy zerwał mi koszulę i stanąłem nagi przed całą szkołą. Chciał otworzyć mój zegar, żeby upokorzyć mnie jeszcze bardziej, ale pierwszy raz nie pozwoliłem mu na to. Biliśmy się i źle się to skończyło, bardzo źle się to skończyło, sama wiesz. Nocą opuściłem Edynburg i udałem się w kierunku Andaluzji. Przemierzyłem pół Europy, żeby cię odnaleźć. Nie było łatwo. Brakowało mi Madeleine, Arthura, Anny i Luny, zresztą nadal mi ich brakuje... Ale chciałem znów cię zobaczyć, to było moje największe marzenie. Wiem, że Joe wrócił, by mi je odebrać. Zrobi wszystko, żeby odciągnąć cię ode mnie. Już zresztą zaczął, nie widzisz tego?

– Naprawdę sądzisz, że mogłabym z nim pojechać?

– W ciebie nie wątpię, ale on wie, jak nadszarpnąć zaufanie, które budowaliśmy krok po kroku. Odkąd się zjawił, nie poznaję ciebie. Zajął moje miejsce w pociągu widmie, śpi w naszym łóżku, jedynym miejscu, gdzie byliśmy bezpieczni, z dala od świata zewnętrznego. Ledwie się odwróce, opowiada ci okropne rzeczy o mojej przeszłości... Mam wrażenie, że nie zostało mi już nic.

– Ale ty...

– Posłuchaj. Pewnego dnia spojrział mi prosto w oczy i ostrzegł mnie: „Rozwalę ci twoje drewniane serce na gło-

wie, rozwalę je tak skutecznie, że już nigdy nie będziesz umiał kochać”. Wie, gdzie wymierzy ci cios.

– Ty też, zdaje się.

– Dlaczego, jak sądzisz, naopowiadał ci o swoim wybitnym oku?

Wzrusza ramionami smutnego ptaszka.

– Joe wie, jak jesteś uparta. Umie rozpalić lonty twoich włosów skupionych wokół serca niczym ziarnka granatu. Wie również, że pod powłoką bomby jesteś krucha. I jeśli pozwolisz wniknąć wątpliwościom, możesz wybuchnąć. Joe próbuje nas osłabić, żeby łatwiej mu było cię odzyskać! Gdybyś chociaż zdawała sobie z tego sprawę, mogłabyś mi pomóc przeszkodzić mu w tym!

Odwraca się do mnie, unosząc powoli powieki jak parasole. Dwie wielkie łzy staczają się po jej cudownej twarzy. Makijaż spływa po długich zmiętych rzęsach. Mała śpiewaczka ma tę dziwną moc – jest równie magnetyczna w cierpieniu, jak i w radości.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Całuję jej usta pełne łez. Mają smak zbyt dojrzałego owocu. Potem oddała się. Patrzę, jak otula ją las. Pochłaniają ją cienie drzew.

Po kilku zaledwie krokach znika w oddali. Moje marzenia rozsypują się, zębaki pracują coraz głośniejsze, o Madeleine, i sprawiają mi coraz większy ból. Czuję się tak, jakbym miał już nigdy jej nie zobaczyć.

W drodze do atelier Mélièsa mój zegar tyka głucho. Czaru-  
jące alkowy Alhambry odpowiadają ponurym echem.

Docieram, ale nie zastaję nikogo. Siadam w samym środ-  
ku konstrukcji z papierowej masy. Zagubiony pośród tych  
wynałazków, staję się jednym z nich. Jestem ludzką sztuczką,  
która chciałaby stać się człowiekiem bez sztuczek. W moim  
wieku naprawdę ważne byłoby, gdyby uważano mnie za do-  
rosłego mężczyznę. Czy potrafiłbym pokazać Miss Acacii,  
z jakiego drewna jestem zrobiony i jak bardzo się dla niej spa-  
lam? Czy udałoby mi się doprowadzić do tego, żeby wierzyła  
we mnie bez ciągłego wrażenia, że pokazuję jej tylko triki?

Moje sny rozciągają się aż po szczyt wzgórze Edynburga.  
Chciałbym teleportować je tutaj naprzeciwko Alhambry.  
Wiedzieć, co się dzieje z moją przybraną rodziną. Tak bar-  
dzo pragnąłbym, żeby pojawili się tu i teraz! Tak bardzo mi  
ich brakuje...

Madeleine i Méliès przy jednym z posiłków, których se-  
kret zna tylko ona, rozmawialiby o „majsterkowaniu” i psy-  
chologii. Z Miss Acacją rozpaląby się przy temacie miło-  
ści i stroszyłyby bez wątpienia swoje eleganckie koki. Ale

pora aperitifów oznaczałaby koniec sporów. Podśmiewałyby się z siebie złośliwie i czule, aż stałyby się przyjaciółkami. Potem Anna, Luna i Arthur przyłączyliby się do nas, ubarwiając rozmowy swoimi smutnymi i szalonymi opowieściami.

– A co to za ponura mina... Chodź, mały, pokażę ci moje ślicznotki! – rzuca Méliès, popychając drzwi.

Towarzyszą mu wysoka chichotliwa blondynka i okrągła brunetka, która wyciąga mu papierosnicę, jakby to była butelka z tlenem. Przedstawia nas sobie:

– Drogie panie, oto mój towarzysz podróży, najwierniejszy sprzymierzeniec, przyjaciel, który ocalił mnie od miłostnej depresji.

Jestem bardzo wzruszony. Dziewczyny biją brawo, mrugając prowokacyjnie.

– Wybacz, ale muszę udać się na kilka wieków do moich apartamentów na regenerującą sjeść.

– A twoja podróż na Księżyc?

– Wszystko w swoim czasie, czyż nie? Trzeba nauczyć się od czasu do czasu odpoczywać. To ważny stan w tej orce, to część procesu twórczego!

Chciałem powiedzieć mu o powrocie Joego, chciałbym, żeby obejrzał, w jakim stanie są moje zębatki; chciałbym zadać mu jeszcze kilka pytań na temat życia z iskierką, ale to najwyraźniej nie jest odpowiednia chwila. Jego zaczadzone kury gdczą już w gorącej wodzie, więc pozwolę mu wziąć zmysłową kąpiel.

– Dziś w nocy, być może, wpadnie do mnie Miss Aca-cia, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Wiesz, że nie, czuj się jak u siebie.

Wracam do pociągu widma, żeby zabrać resztę rzeczy osobistych. Myśl o definitywnym opuszczeniu tego miejsca przysparza mi kolejnych cierpień. Pociąg widmo nawiedzają cudowne wspomnienia o Miss Acacii. Poza tym widok ludzi dobrze bawiących się podczas moich występów zaczynał sprawiać mi przyjemność.

Wielki afisz z wizerunkiem Joego przykrywa mój. Pokój jest zamknięty na klucz. Rzeczy, których nie udało mi się wcisnąć do walizki, czekają w korytarzu ułożone w stos na mojej platformie na kółkach. Stałem się tylko widmem. Nadal nie przerażam, nikt nie śmieje się na mój widok, nie widać mnie. Nawet dla pragmatycznego spojrzenia Brigitte Heim jestem przezroczysty. To tak, jakbym już nie istniał.

Z kolejki oczekującej na przedstawienie woła mnie jakiś chłopiec.

– Przepraszam pana, czy pan nie jest przypadkiem człowiekiem-zegarem?

– Kto? Ja?

– Tak, pan! Poznałem dźwięk pańskiego serca! A więc wraca pan do pociągu widma?

– Nie, właśnie odchodzę.

– Ależ musi pan wrócić! Musi pan wrócić, bardzo tu pana brakuje...

Nie spodziewałem się takiego zainteresowania, coś w moich zębatkach zaczyna wibrować.

– Wie pan, w tym pociągu po raz pierwszy w życiu pocałowałem dziewczynę. Ale teraz, kiedy jest tu wielki Joe, ona już nie chce przychodzić. Boi się go. Nie może nas pan zostawiać z wielkim Joem!

– Tak! Świetnie się tu bawiliśmy! – wykrzykuje inny dzieciak.

– Niech pan wraca! – podchwytuje następny.

Kiedy pozdrawiam moje małe zgromadzenie, dziękując im za te ciepłe słowa, daje o sobie znać moja kukułka. Trzech chłopców bije brawo, kilkoro dorosłych nieśmiało im przyklaskuje.

Przy okrzykach części tłumu wsiadam na moją platformę, żeby zjechać w dół szerokiej ulicy, która biegnie wzdłuż Alhambry.

– Musi pan wrócić! Musi pan wrócić!

– Musisz odejść! – słyszę nagle bardzo poważny głos.

Odwracam się. Za moimi plecami Joe uśmiecha się niczym zwycięzca. Gdyby tyranozauury się uśmiechały, robiłyby to tak jak on. Nieczęsto i niepokojąco.

– Właśnie sobie idę stąd, ale uprzedzam, że wrócę. Wygrałeś bitwę o pociąg widmo, ale królem serca, wiesz czyje-go, jestem ja!

Tłum pokrzykuje jak podczas walk kogutów.

– A więc niczego nie jesteś świadom?

– Czego?

– Że zachowanie Miss Acacii w stosunku do ciebie się zmienia?

– Załatwmy tę sprawę z dala od ludzi, Joe. Nie wymieniaj niczyjego imienia!

– Słyszałem, jak wczoraj wieczorem kłóciliście się w łazience...

– Oczywiście, wmawiasz jej straszne rzeczy na mój temat!

– Powiedziałem jej tylko, że wybiłeś mi oko bez powodu. Wydaje mi się, że to otwarta wojna!

Część kolejki staje po stronie Joego, druga, mniejsza, po mojej.

– Mówiłeś o walce w starym stylu, uczciwej! Kłamca!

– A ty oszukujesz, marzysz zamiast żyć, twoje pseudo-poetyckie wynalazki są tylko kłamstwami. W twoim stylu jest zupełnie co innego, a wszystko sprowadza się do jednego... W każdym razie... Spotkałeś ją dzisiaj?

– Nie, jeszcze nie.

– Zabrałem ci pracę, zająłem twój pokój, straciłeś wszystko. Tak właśnie jest, straciłeś ją, mały Jacku! Wczoraj po waszej kłótni zapukała do moich drzwi. Potrzebowała pocieszenia po tej scenie zazdrości, którą jej urządziłeś... Nie mówiłem jej o tych idiotyzmach związanych z twoim sercem. Rozmawiałem z nią o istotnych sprawach, które dotyczą wszystkich. Czy chciałaby gdzieś osiąść na stałe, w jakim domu chciałaby mieszkać, czy chciałaby mieć dzieci, rozumiesz?

Uklucie zwątpienia. Mój kręgosłup zmienia się w grzechotkę. Czuję, jak dreszcze rozchodzą się pod skórą.

– Wspominaliśmy ten dzień, kiedy o mało nie utonęła pod lodem. Wtuliła się w moje ramiona. Tak jak kiedyś, dokładnie tak jak kiedyś.

– Wydłubię ci drugie oko, śmieciu!

– I całowaliśmy się. Tak jak kiedyś, dokładnie tak jak kiedyś.

Kręci mi się w głowie, czuję, że słabnę. Słyszę Brigitte Heim, która w oddali przemawia do tłumu, pociąg za chwilę ruszy. Mam duszności, bez wątpienia jestem tak paskudny jak ropucha paląca swoje ostatnie cygaro.

Przed odejściem Joe drwi sobie ze mnie jeszcze raz:



– Nawet nie zauważyłeś, że ją tracisz. Spodziewałem się napotkać twardszego przeciwnika. Naprawdę na nią nie zasługujesz.

Rzucam się na niego ze wskazówkami. Czuję się, jakbym był malutkim byczkiem z plastikowymi rogami, a on promieniającym torreadorem, który przymierza się do zadania śmiertelnego ciosu. Prawą ręką chwyta mnie za gardło i popycha w kurz ulicy, jakby nic go to nie kosztowało.

Następnie wchodzi do pociągu widma, a za nim ludzie. Leżę tak nieskończenie długo, lewym ramieniem oparty o platformę na kółkach, niezdolny zareagować.

Docieram wreszcie do pracowni Mélièsa. Trwa to wieczność. Za każdym razem, kiedy wskazówka przesuwa się o minutę, mam uczucie, jakby jej ostrze zanurzało się coraz głębiej między moje kości.

Na zegarze mojego serca północ. Czekam na Miss Aca-cię, patrząc na księżyc z papieru, który mój iluzjonista zrobił dla swojej ukochanej. Dziesięć po dwunastej, dwadzieścia pięć po dwunastej, za dwadzieścia pierwsza. Nikogo. Mechanizm mojego serca nagrzewa się, zaczyna pachnieć spalenizną. Zupa z kolców staje się coraz ostrzejsza. A tak się starałem nie doprawiać jej wątpliwościami.

Méliès wychodzi ze swojego pokoju, a za nim korowód rozbawionych pośladków i cycków. Jednak nawet w euforii potrafi dostrzec, kiedy nie czuję się dobrze. Czuję się w spójrzaniem nakazuje swoim ślicznotkom, żeby się uspokoiły, żeby dysonans w nastrojach nie pogrążył mnie jeszcze bardziej.

Nie przyszła.

Następnego dnia Miss Acacia śpiewa w kabarecie w Marbelli, miejscowości wypoczynkowej znajdującej się jakieś sto kilometrów od Grenady. „Dobra okazja, żeby spotkać ją z dala od Joego” – mówi Méliès.

Pożycza mi swój najpiękniejszy strój i kapelusz fetysz. Z drzeniem proszę go, aby mi towarzyszył. Zgadza się z tą samą prostotą co pierwszego dnia.

W drodze strach i wątpliwości walczą o lepsze z pożądaniem. Nigdy nie myślałem, że zatrzymanie przy sobie osoby, którą się kocha z całych sił, będzie tak skomplikowane. Ona daje mi z siebie wszystko. Ja tak samo, a tymczasem ona dostaje mniej. Może dlatego, że robię to źle. Nie pozwolę sobie jednak wysiąść z najbardziej magicznego pociągu mojego życia. Pociągu napędzanego lokomotywą wypluwającą ogniście płatki żonkili. Dziś wieczorem wyjaśnię jej, że jestem gotów wszystko zmienić, wszystko zaakceptować, żeby tylko mnie kochała. I znów będzie jak dawniej.

Miniaturowa scena znajduje się nad brzegiem morza. Mimo to zdaje się, że wokół niej skupił się cały świat. W pierw-

szym rządzie niewysłowienie szczęśliwy Joe jak totem, który wstrząsa całym moim ciałem.

Moja mała śpiewaczka wchodzi na scenę, z narastającą, niesłychaną siłą stuka obcasami. Wyje, zawodzi, krzyczy, jakby zmieniała się w wilka. Brunatnoczerwony blues przykrywa jej flamenco. Ziarnka pieprzu tańczą na języku. W sukni o pomarańczowych refleksach przypomina śpiewającą puderniczkę. Zbyt wiele napięcia musi się wyładować przed dzisiejszym wieczorem.

Nagle jej lewa noga przebija podłogę, w chwilę później więźnie w niej prawa. Rzucam się na pomoc, ale ludzie nie pozwalają mi przejść. Wolą krzyczeć, zamiast się ruszyć, i patrzą na Miss Acację jak na zaklinowany żywy gwóźdź. Napotykam jej wzrok, ale chyba mnie nie poznaje – pewnie przez kapelusz Mélièsa. Joe śpieszy do niej, jego wielkie nogi skutecznie roztrącają tłum. Odpadam w przedbiegach, a on zdobywa teren. Za kilka sekund dotrze do jej ramion. Nie mogę jej zostawić w tych ramionach. Miss Acacia marszczy się, jest ranna. Zazwyczaj nie skarży się z byle powodu. Chciałbym być lekarzem albo lepiej czarownikiem zdolnym natychmiast postawić ją na nogi. Wspinam się po tłumie, stąпам po czaszkach jak w pociągu widmie. Złapię go, złapię ją. Zrobiła sobie krzywdę, nie chcę, żeby robiła sobie krzywdę. Ludzie cisną się dookoła sceny, chciwi widoku. Zrównuję się z Joem. Muszę przeszkodzić podłodze, by nie pochłonęła jej do końca! Tym razem uda się to mnie! Ocalę Miss Acację i tym samym ocalę siebie w jej ramionach.

Jakiś nagły ból z głębi zębatek przeszywa mi płuca. Joe mnie wyprzedził. Jego długie palce jak w zwolnionym tem-

pie na moich oczach wyciągają Miss Acację. Pragnienie uratowania jej za bardzo mnie przepełniło. To on tuli małe ptasie ciało. Mój zegar zgrzyta niczym tysiiąc kred o tablicę. Joe niesie ją jak pannę młodą. Jest piękna nawet w jego ramionach. Znikają w jej garderobie. Powstrzymuję się, żeby nie zawyć, trzęsę się. Ratunku, Madeleine! Przyślij mi oręż w postaci stalowych serc.

Muszę się znaleźć po drugiej stronie tych drzwi. Walę w nie głową. Zamknięte. Padam, na podłodze częściowo odzyskuję możliwość logicznego myślenia. Zauważam swoje odbicie w szybie. Na lewej skroni wyrósł mi niebieskawy guz.

Po kilku próbach drzwi się otwierają. Miss Acacia leży w ramionach Joego. Czerwoną, lekko podciągniętą suknię zdobią kropelki krwi, które mieniają się na jej łydkach. Wygląda to tak, jakby on ją ugryzł i zamierzał pożreć.

– Co ci się stało? – pyta mała śpiewaczka, zbliżając dłoń do mojej głowy, żeby dotknąć guza.

Uchylam się przed gestem.

Moje serce wykryło odrobinę czułości, ale jej nie przyjęło. Górę bierze złość. Spojrzenie Miss Acacii twardnieje. Joe przyciska jej ptasie ciało do swojej szerokiej klatki piersiowej, jakby chciał ochronić ją przede mną. O Madeleine, twoja tabliczka musi teraz drżeć nad moim łóżkiem. Palpitacje zegara czuję aż pod językiem.

Miss Acacia prosi Joego, żeby wyszedł. Spełnia jej polecenie ze staroświecką grzecznością dżudoki. Najpierw jednak sadza ją delikatnie na krześle. Widocznie boi się, żeby się nie potłukła. Jego czułe gesty są nie do zniesienia.

– Pocałowałaś go?

– Słucham?

– To ja słucham!

Obudziłem lawinę.

– Jak możesz coś takiego pomyśleć? Po prostu pomógł mi wyjąć nogę z tej przeklętej podłogi. Przecież sam widziałeś!

– Widziałem, ale wczoraj mówił, że...

– Naprawdę sądzisz, że chcę z nim wyjechać? Myślisz, że mogłabym ci to zrobić? Nic nie rozumiesz, słowo daję!

Obawa przed jej utratą i ból głowy doprowadzają do zwarcia elektrycznego, którego już nie kontroluję. Chyba zwymiotuję rozżarzoną węglą. Czuję, jak ogień podchodzi mi do gardła, obejmuje mózg. Przepływa pod czaszką. Wypowiadam straszne słowa, zdania ostateczne.

Chciałbym natychmiast je cofnąć, ale żółć już się rozlała. Czuję, jak łączące nas więzy pękają jeden po drugim. Zatapiam nasz statek morderczymi zdaniami, powinienem zatrzymać tę maszynę plującą urazą, zanim będzie za późno, ale mi się nie udaje.

Joe pomału otwiera drzwi. Nie mówi nic, wsuwa tylko głowę, by pokazać Miss Acacii, że nad nią czuwa.

– Wszystko w porządku, Joe! Nie martw się.

Jej źrenice połyskują bezdennym smutkiem, ale zmarszczki wokół ładnych ust wyrażają złość i pogardę.

Z tych oczu, okolonych gęstym ogrodem rzęs, który tak uwielbiałem, sączy się mżawka, widać w nich mgłę i pustkę.

To najzimniejszy prysznic z możliwych; ma tę zaletę, że przywraca mnie do rzeczywistości. Uświadamiam sobie, że niszczę wszystko, co nas łączy, widzę to w potłuczonym lustrze jej spojrzenia. Muszę jak najszybciej cofnąć czas.

Stawiam wszystko na jedną kartę. Odślaniam to, co chciałem przed nią ukryć. Wiem, że od tego powinienem był zacząć, że moje poczynania są chaotyczne, ale jeszcze próbuję odwrócić bieg wypadków.

– Kocham cię nieudolnie, bo mam serce popsute od urodzenia. Lekarze zabronili mi zakochać się, bo moje zegaroserce jest zbyt wrażliwe, żeby to wytrzymać. Mimo to złożyłem życie w twoje dłonie, bo oprócz marzeń dałaś mi tak wielki zastrzyk miłości, że czułem się zdolny pokonać wszelkie przeszkody.

Ani śladu dołeczka na policzku.

– Dziś robię wszystko nie tak, bo nie wiem już, jak postępować, by cię nie stracić, jestem od tego chory. Kocham cię...

– I do tego wierzysz w te swoje kłamstwa! To patetyczne! – ucina. – Nie zachowywałbyś się tak, gdyby była w tym wszystkim choć odrobina prawdy... Na pewno nie tak. Idź sobie, idź sobie, proszę cię!

Węgle znowu przepływają mi pod czaszką i zalewają czerwony zegar. Zębatki zacinają się w ponurym zgrzycie. Mój mózg płonie, serce podchodzi mi do głowy. Jestem pewien, że widać to w moich oczach.

– A więc jestem tylko oszustem, tak? Przekonamy się, i to natychmiast!

Z całej siły ciągnę wskazówki. To potwornie boli. Chwytam obiema dłońmi tarczę i jak opętany próbuję wyrwać zegar. Chcę na jej oczach wyrzucić do kosza ten rozżarzony węgiel, żeby w końcu zrozumiała! Ból jest nie do zniesienia. Pierwsza próba. Nic się nie dzieje. Druga – i nadal nic. Trzecia, gwałtowniejsza, zamienia się w grad ciosów noża. W od-

dali słyszę jej błagalny głos: „Przestań, przestań!”. Buldożer rozwala mi płuca.

Niektórzy twierdzą, że kiedy nadchodzi śmierć, widzi się bardzo intensywne światło. Ja widziałem tylko mrok. Bezbrzeżny mrok i zamieć czarnych płatków. Śnieg, który stopniowo zakrywa mi ręce, a następnie rozpostarte ramiona. Zdaje mi się, że wszędzie rosną róże, krew przysłania śnieżycę. Po chwili róże znikają i całe moje ciało również znika. Jestem zarazem odprężony i niespokojny jakbym przygotowywał się do bardzo długiego lotu samolotem.

Pod powiekami pojawia się ostatni bukiet iskier: Miss Acacia tańcząca na swoich wysokich obcasach, Doktor Madeleine pochylona nade mną, nastawiająca zegar, Arthur pokrzykujący i swingujący *Oh When the Saints*, Miss Acacia tańcząca na swoich obcasach, Miss Acacia tańcząca na swoich obcasach...

Krzyki Miss Acacii pełne przerażenia budzą mnie w końcu z omdlenia. Podnoszę głowę i spoglądam na nią. W dłoniach trzymam dwie złamane wskazówki. W jej oczach smutek i złość ustąpiły miejsca przerażeniu. Policzki zapadają się, wysoko podniesione brwi przecinają czoło. Oczy, które wczoraj były przepełnione miłością, przypominają dwa dziurawe kociołki. Mam wrażenie, że obserwuje mnie ładna nieboszczka. Ogarnia mnie przemożne uczucie wstydu, złość na siebie samego jest większa niż złość, którą budzi we mnie Joe.

Miss Acacia opuszcza garderobę. Drzwi trzaskają jak ognisty cios. Z mojego kapelusza wyfruwa ptak, o którym Méliès pewnie zapomniał. Jest mi zimno, coraz zimniej. Oto nadszedł najzimniejszy wieczór w dziejach świata. Chyba zsztyto mi serce lodowymi pogrzebaczymi.

Przechodzi przede mną, nie odwracając się, i znika w ciemności niczym smutna kometa. Słyszę odgłosy przewracającej się lampy i hiszpańskie przekleństwa. Mój mózg wysłał polecenie uśmiechu do wspomnień, ale gubi się ono w drodze.

Kilka metrów nad sceną piorun przeszywa niebo. Parasole zakwitają niczym pogrzebowe kwiaty na wiosnę. Jestem śmiertelnie zmęczony.

Przytrzymuję zegar lewą ręką. Na zębatkach widać krew. Kręci mi się w głowie, nie jestem w stanie poruszać nogami. Kiedy próbuję iść, kolana krzyżują mi się jak początkującemu narciarzowi.

Przy każdym skurczu serca kukułka zanosi się śpiewem, zauważam wiórki porozrzucane dookoła. Powala mnie sen. Rozpływam się we mgle, myśląc o Kubie Rozpruwaczu. Czy skończę tak jak on, zdolny do miłości tylko z martwymi?

Przeżyłem to wszystko dla Miss Acacii, moje marzenia, rzeczywistość, nic się nie sprawdza. Tak bardzo chciałem, tak bardzo... bez wątpienia za bardzo, żeby się to udało! Uważałem, że dla niej potrafię wszystko – wykrzesać opiłki z Księżyca, żeby ozdobić jej powieki, nie zasnąć, dopóki ptaki nie ziewną o piątej rano, przemierzyć ziemię, żeby odnaleźć ją na drugim krańcu świata... I, proszę, co z tego wynikło...



Promień światła przedziera się między drzewami i w ci-  
szy kończy swój bieg na plaży. Morze rozświetla się na  
chwilę. Może Miss Acacia ma mi jeszcze coś do powie-  
dzenia?

Po chwili kolejna porcja morskiej piany zakołysała Mar-  
bellą w ciemności. Widzowie umykają przed deszczem jak  
króliki. Nadchodzi dla mnie czas pakowania śmigieł napę-  
dzających marzenia.

Méliès będzie potrzebował dwóch dni, żeby dowlec moje stare kości z Marbelli do Grenady. Kiedy docieramy wreszcie na obrzeża Alhambry, miasto wygląda jak cmentarzysko słońi. Widzę wyrastające świetliste miecze, gotowe pociąć mnie na kawałki.

– Podnieś się! Podnieś się! – szepcze Méliès. – Weź się w garść, nie opuszczaj mnie!

W środku zgliszcza. Spoglądam na kikuty moich wskazówek. To, co widzę, napawa mnie przerażeniem. Przypomina mi moje narodziny.

Wszystko, co znaczyło dla mnie tak wiele, rozmywa się. Pragnienie założenia rodziny i dbanie o zegar, abym mógł żyć, jak długo się da, te moje całkiem nowe dorosłe marzenia roztopiają się niczym płatki śniegu w ogniu. Co za różowa bzdura ta miłość! Madeleine mnie przecież ostrzegiała, ale chciałem słuchać tylko swojego serca.

Wlokę się coraz wolniej. Wielki pożar sieje spustoszenie w mojej klatce piersiowej, ale jestem jak znieczulony. Samolot mógłby przelecieć mi przez głowę, a i tak teraz wiele by to nie zmieniło.

Chciałbym ujrzeć na horyzoncie wzgórze Edynburga. Och, choćby samą Madeleine! Udałbym się prosto do mojego łóżka. Pod poduszką musiały przecież zostać jakieś sny z dzieciństwa. Spróbowałbym nie zgnieść ich ciężką od zmartwień głową dorosłego. Próbowałbym zasnąć z nadzieją, że już się nie obudzę. Taka myśl byłaby dla mnie dziwnie pocieszająca. Następnego dnia rano pojawiłbym się smętny, jak przegrany bokser, który usłyszał ostatni gong. Ale Madeleine swoimi zabiegami przywróciłaby mnie do wcześniejszej formy.

Kiedy znowu znaleźliśmy się w pracowni, Méliès natychmiast położył mnie do łóżka. Krew rozlała się po białej pościeli. Śnieżne wirujące róże pojawiają się znowu. Niech to szlag, pobrudziłem całe prześcieradło! – mówię do siebie w nagłym przyptywie świadomości. Moja głowa waży z tonę, mój mózg nie ma siły tkwić pod czaszką, tak jak moje serce nie ma już siły tkwić pod tarczą.

– Chcę wymienić serce! Odmień mnie, nie chcę już siebie takiego!

Méliès patrzy na mnie z niepokojem.

– Nie chcę już dłużej tego drewnianego kowadła, które ciągle się psuje.

– Wiesz co, twój problem wydaje mi się o wiele poważniejszy niż sprawa drewna w sercu.

– Mam uczucie, że w płucach wyrasta mi gigantyczna akacja. Dziś wieczorem widziałem, jak Joe niósł w ramionach małą śpiewaczkę, i to przeszło mnie bólem. Nigdy bym nie sądził, że to będzie tak trudne. A kiedy wyszła, trzaskając drzwiami, było jeszcze trudniej.

– Znałeś ryzyko, dając tej iskierce klucze do serca, mój chłopcze!

– Chciałbym, żebyś wstawił mi nowe serce i wyzerował licznik. Już nigdy w życiu nie chcę się zakochać.

Widząc iskrę samobójczego szału w moim spojrzeniu, Méliès dochodzi do wniosku, że wszelka dyskusja jest bezcelowa. Układa mnie na swoim stole, jak swego czasu Madeleine, i każe mi być cierpliwym.

– Poczekaj, coś ci znajdę.

Nie udaje mi się rozluźnić, a zębatki zgrzytają okropnie.

– Powinieneś mieć kilka części zamiennych... – dodaje.

– Mam dość ciągłego naprawiania, chciałbym coś wystarczająco solidnego, żebym, jak wszyscy, był w stanie znieść silne emocje. Nie znalazłbyś zegara do zamiany?

– Wiesz przecież, że to nic nie da. Należałoby zreperować twoje serce z ciała i krwi. Do tego nie potrzeba ani lekarza, ani zegarmistrza. Potrzeba ci albo miłości, albo czasu, ale bardzo dużo czasu.

– Nie mam ochoty czekać i już nie kocham, wymień mi zegar, błagam cię!

Méliès udaje się do miasta, żeby znaleźć dla mnie nowe serce.

– Nim wrócę, spróbuj trochę odpocząć. I bez żadnych głupot.

Próbuję nakręcić moje stare serce ostatni raz. Mam zawroty głowy. Myśli pełne poczucia winy kierują się w stronę Madeleine, która włożyła tyle trudu w to, żebym mógł normalnie żyć i nie zrobił sobie krzywdy.

Kiedy wkładam klucz do dziurki, ostry ból przeszywa mi płuca. Kilka kropel krwi szkli się na wskazówkach. Próbuję wyciągnąć klucz, ale zaciął się. Próbuję odblokować moje połamane wskazówki. Naciskam z całych niewielkich sił, jakie mi zostały. Gdy w końcu mi się udaje, krew obficie płynie przez dziurkę. Kurtyna.

Wrócił Méliès. Widzę go tak słabo, jakbym zamienił się na oczy z Miss Acacią.

– Znalazłem całkiem nowe serce, bez kukułki i tykające znacznie ciszej.

– Dziękuję...

– Podoba ci się?

– Tak, dziękuję...

– Jesteś pewien, że nie chcesz już serca, dzięki któremu Madeleine uratowała ci życie?

– Jestem pewien.

– Nigdy już nie będziesz taki jak dawniej, wiesz o tym?

– Właśnie tego chcę.

Nie pamiętam już nic z wyjątkiem uczucia niewyraźnego snu i ogromnego kaca.

Kiedy w końcu otwieram oczy, zauważam mój stary zegar na szafce nocnej. To dziwne uczucie móc wziąć do ręki swoje serce. Kukulka już nie działa. Jest na niej kurz. Czuję się jak duch, palący spokojnie papierosa, oparty o swoją płytę nagrobną, z tym że ja żyję. Mam na sobie dziwną piżamę, a w żyłach dwie rurki – jeszcze jedna rzecz do ogarnięcia.

Patrzę na moje nowe bezwskazówkowe serce. Nie wydaje żadnego dźwięku. Ile czasu spałem? Wstaję z trudem. Bolał mnie kości. Nie mogę znaleźć Mélièsa. Jakaś kobieta ubrana na biało siedzi za biurkiem. Nowa „ślicznotka”, jak sądzę. Daje jej znak ręką. Wzdryga się, jakby zobaczyła ducha. Drżą jej ręce. Chyba w końcu udało mi się kogoś przerazić.

– Jestem taka szczęśliwa, że widzę pana na nogach!  
Gdyby pan wiedział...

– Ja również! Gdzie jest Méliès?

– Proszę usiąść, muszę panu wyjaśnić parę rzeczy.

– Mam wrażenie, jakbym spał sto pięćdziesiąt lat, z trudem mogę ustać pięć minut.

– Mówiąc szczerze, lepiej by było, gdyby pan siedział...

A poza tym muszę panu opowiedzieć o ważnych sprawach. O sprawach, o których nikt nigdy nie chciał z panem rozmawiać.

– Gdzie jest Méliès?

– Wrócił do Paryża kilka miesięcy temu. Poprosił mnie, żebym się panem zajęła. Bardzo pana lubił. Był zafascynowany wpływem, jaki ten zegar miał na pańską wyobraźnię. Kiedy wydarzył się ten wypadek, wyrzucał sobie, że nie wyjawiał panu prawdy o pańskiej rzeczywistej naturze, nawet gdyby nie miało to zmienić biegu wypadków. Ale teraz musi pan poznać prawdę.

– Jaki wypadek?

– Nie przypomina pan sobie? – pyta smutno. – Próbował pan wyrwać zegar przszyty do pańskiego serca, w Marbelli...

– Ach tak...

– Méliès usiłował wszczepić panu nowe serce, żeby podnieść pana trochę na duchu.

– Podnieść na duchu! Byłem w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

– Tak, każdemu się wydaje, że umrze, kiedy zostaje rozdzielony z ukochaną osobą. Ale ja mówię o sercu w mechanicznym tego słowa znaczeniu. Proszę mnie uważnie posłuchać, choć wiem, że trudno będzie uwierzyć w to, co mam do powiedzenia...

Siada obok mnie, bierze moją prawą dłoń w swoje. Czuję, że drży.

– Był pan zdolny żyć bez tych zegarów, zarówno bez tego starego, jak i tego, który ma pan teraz. Tak naprawdę nie są niezbędne do funkcjonowania pańskiego prawdziwe-

go serca. To nie są rzeczywiste protezy, to tylko placebo, które z medycznego punktu widzenia nie jest do niczego potrzebne.

– Ależ to niemożliwe! Dlaczego Madeleine miałyby wymyślać to wszystko?

– Z pobudek psychologicznych bez wątpienia. Może po to, aby uchronić pana przed własnymi demonami, jak to czyni wielu rodziców w ten czy inny sposób.

– To dlatego zawsze mówiła mi, abym chodził do zegarmistrzów, a nie do lekarzy. Pani nie rozumie medycyny tego typu i tyle.

– Wiem, że to dość brutalna pobudka, ale już pora właściwie pana nastawić, że się tak wyrażę. Jeśli chce pan zacząć żyć prawdziwym życiem.

– Nie wierzę pani ani trochę.

– To normalne, przecież całe życie wierzył pan w tę historię o zegarosercu.

– Skąd zna pani moje życie?

– Czytałam o nim... Méliès opisał pańską historię w tej oto książce.

*Człowiek prawdziwy* – widzę tytuł na okładce. Przeglądam książkę szybko, przebiegam wzrokiem naszą epopeę rozgrywającą się w różnych zakątkach Europy. Grenada, odnalezienie Miss Acacii, powrót Joëgo...

– Proszę jeszcze nie czytać zakończenia! – mówi nagle kobieta w bieli.

– Dlaczego?

– Najpierw musi pan oswoić się z myślą, że pańskie życie nie zależy od zegara. To jedyny sposób, w jaki może pan zmienić zakończenie tej książki.



– Nigdy nie mógłbym w to uwierzyć, a już na pewno nie przyznałbym się do tego.

– Stracił pan Miss Acację, wierząc, że ma pan serce z drewna.

– Nie mogę tego słuchać!

– Powinien był pan zdać sobie z tego sprawę, ale ta historia zakorzeniła się w panu tak głęboko... Teraz jednak musi mi pan uwierzyć. Jeśli pan chce, proszę przeczytać trzecią część książki, ale może to pana bardzo zasmucić. Mimo wszystko musi pan pójść dalej.

– Dlaczego Méliès nigdy mi o tym nie powiedział?

– Méliès uważał, że z psychologicznego punktu widzenia nie byłby pan w stanie go zrozumieć. Sądził, że w dzień wypadku byłoby niebezpiecznie wyjawiać panu prawdę, zważywszy na stan, w jakim dotarł pan do pracowni. Wyrzucał sobie bardzo, że nie zrobił tego wcześniej... Myślę, że dał się uwieść tej historii. Jemu też niewiele potrzeba, żeby uwierzyć w niemożliwe. Obserwowanie pańskiej niezachwianej wiary poprawiało mu samopoczucie... Aż do tej tragicznej nocy.

– Na razie nie mam ochoty zagłębiać się w te wspomnienia.

– Rozumiem, ale muszę panu opowiedzieć, co stało się zaraz potem... Chce się pan czegoś napić?

– Tak, proszę, ale żadnego alkoholu, nadal boli mnie głowa.

Podczas gdy pielęgniarzka szuka czegoś, czym mogłaby postawić mnie na nogi po takiej dawce emocji, ja przyglądam się mojemu staremu sercu na szafce nocnej, a następnie mojemu nowemu zegarowi pod pogniecioną piżamą. Ma metaliczną tarczę, a wskazówki chroni szybka. Na godzinie

dwunastej znajduje się coś w rodzaju rowerowego dzwonka. Ten zegar mnie drapie, mam wrażenie, że wszczepiono mi serce kogoś innego. Zastanawiam się, co jeszcze ta dziwna kobieta w bieli zechce mi wcisnąć.

– Tamtego dnia – mówi – kiedy Méliès udał się do miasta po nowy zegar, aby choć trochę panu ulżyć, pan próbował się nakręcić. Przypomina pan sobie?

– Tak, mgliście.

– Z tego, co opowiadał Méliès, był pan bliski utraty przytomności, krwawił pan obficie.

– Tak, kręciło mi się w głowie, czułem, że ziemia przyciąga mnie do siebie...

– Miał pan krwotok wewnętrzny. Kiedy Méliès zdał sobie z tego sprawę, natychmiast pomyślał o mnie i przybiegł czym prędzej. Mimo że prędko zapomniał o moich pocałunkach, zachował w pamięci moje umiejętności pielęgniarские. Zatrzymałam krwotok, ale pan nie odzyskał przytomności. Przeprowadził operację, którą panu obiecał. Twierdził, że obudzi się pan w lepszym stanie psychicznym, jeśli będzie pan miał nowe zegaroserce – było to działanie na granicy przesądu. Obawiał się pańskiej śmierci.

Słucham mojej historii, jakby mówiła o kimś, kogo ledwo znam. Mam trudność z odniesieniem tych wywodów do rzeczywistości.

– Byłam w Mélièsie potwornie zakochana, mimo że nie do końca z wzajemnością. Zająłam się panem głównie po to, aby utrzymać z nim kontakt. Potem, czytając *Człowieka prawdziwego*, przywiązałam się do pana. I tak oto stałam się częścią tej historii, dosłownie i w przenośni. Od dnia wypadku czuwam nad panem.

Jestem kompletnie oszołomiony. W prawym płacie mózgu krew pulsuje niczym światło latarni morskiej. „To może być prawda”. „To może być prawda”.

– Według Mélièsa, kiedy na oczach Miss Acacji zniszczył pan sobie serce, chciał jej pan pokazać, jak bardzo cierpi, ale i jak bardzo ją kocha. Czyn idiotyczny, akt desperacji. Ale był pan ledwo nastolatkiem, gorzej – nastolatkiem z marzeniami dziecka, który żeby przetrwać, miesza marzenia z rzeczywistością.

– Byłem tym nastolatkiem i dzieckiem zarazem jeszcze kilka minut temu...

– Nie, przestał pan nim być, decydując się na zmianę serca. Właśnie tego obawiała się Madeleine, tego, że w końcu pan dorośnie.

Im bardziej powtarzam sobie „niemożliwe”, tym mocniej słowo „możliwe” odbija się echem pod czaszką.

– Opowiadam panu tylko to, co przeczytałam w książce Mélièsa. Dał mi ją tuż przed wyjazdem do Paryża.

– Kiedy wróci?

– Myślę, że nie wróci nigdy. Jest ojcem dwójki dzieci i ciężko pracuje nad swoim pomysłem ruchomych obrazów.

– Ojcem?

– Na początku pisał do nas co tydzień – do pana i do mnie. Teraz mijają długie miesiące bez żadnych wieści. Sądzę, że obawia się, iż mogłabym go zawiadomić o... pańskiej śmierci.

– Jak to długie miesiące?

– Jest czwarty sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego. Był pan w śpiączce blisko trzy lata. Wiem, że trudno będzie panu w to uwierzyć, ale proszę przejrzeć się w lustrze. Długie włosy świadczą o czasie, jaki minął.

– Na razie nie chcę niczego oglądać.

– Przez pierwsze miesiące otwierał pan oczy zaledwie na parę sekund dziennie. Kiedyś obudził się pan i wypowiedział kilka słów na temat Miss Acacii, a potem znowu zapadł pan w otchłań.

Na sam dźwięk jej imienia moje uczucia ożywają z całą mocą.

– Z początkiem roku pańskie przebudzenia stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej regularne. Aż wreszcie dzisiaj... Zdarza się, że ludzie budzą się z długotrwałej śpiączki takiej jak pańska, wiedział pan o tym? W końcu to tylko bardzo długa noc, którą trzeba przespać. Cóż za nieoczekiwane szczęście zobaczyć pana w końcu na nogach! Méliès oszalałby z radości... Niestety, mogą pojawić się powikłania...

– Jak to?

– Z tak dalekiej podróży nie wraca się bez szwanku; to i tak nadzwyczajne, że przypomina pan sobie, kim jest.

W szklanych drzwiach pracowni napotykam wzrokiem własne odbicie. Trzy lata. Te słowa dźwięczą mi w uszach. Trzy lata. Jestem żywym trupem. Coś ty robiła podczas tych trzech lat, Miss Acacio?

– Czy naprawdę żyję? Może to sen? Koszmar? Może umarłem?

– Z całą pewnością żyje pan, inaczej, ale pan żyje.

Kiedy w końcu udaje mi się pozbyć tych okropnych rupek, które kłuły mnie w rękę, próbuję wrócić do równowagi, pochłaniając solidny posiłek.

Wspomnienie o Miss Acacii sprawiło, że odzyskałem jas-

ność myślenia. Nie jest przecież ze mną aż tak źle. Mam na jej punkcie taką samą obsesję jak w dniu moich dziesiątych urodzin. Muszę iść jej szukać. Niczego nie jestem pewien z wyjątkiem jednego: nadal ją kocham. Sama myśl o tym, że jej tu nie ma, przyprawia mnie o mdłości, które mają smak popiołu. Jeśli jej nie odnajdę, nic już nie będzie miało sensu.

Nie mam wyboru, muszę wrócić do „Niezwykłości”.

– Nie pójdzie pan tam w takim stanie!

Wychodzę, nie kończąc posiłku. Kierunek: miasto. Nigdy nie biegłem tak wolno. Moje płuca reagują na świeże powietrze jak na stalowe poddmuchy, czuję się, jakbym miał sto lat.

Na obrzeżach Grenady białe tynki domów mieszają się z niebem w wielkich kotłach brunatnopomarańczowego kurzu. Mijam swój cień na jednej z uliczek, której nie rozpoznaję. W szybach odbija się mój zupełnie nowy wizerunek. Włosy i broda sprawiają, że przypominam świętego Mikołaja z wielkim brzuchem i białymi włosami. Ale to nie wszystko. Ból w kościach zmienił mój chód. Ramiona jakby się poszerzyły, a w butach, które stały się za małe, bolą mnie stopy. Na mój widok dzieci czepiają się spódnic matek.

Na rogu jednej z ulic wpadam na afisz przedstawiający Miss Acację. Patrzę na nią długo, drżąc ze smutnego pożądania. Ma wyraźne spojrzenie, mimo że nadal nie nosi okularów. Urosły jej paznokcie, teraz je maluje. Jest jeszcze bardziej wyrafinowana niż dawniej, podczas gdy ja stałem się jaskiniowcem w pizamie.

Kiedy dochodzę do „Niezwykłości”, natychmiast kieruję się do pociągu widma. Na miejscu dopadają mnie najlepsze

wspomnienia i odnajdują swoje miejsce. Ale i złe nie zwlekają, żeby się przyłączyć.

Zajmuję miejsce w wagoniku i nagle zauważam Joego. Siedzi na schodku i pali papierosa. Trasa przejazdu chyba została wydłużona. Nagle... Widzę Miss Acacię kilka rzędów za mną. Uciszyć się, moje serce! Nie poznaje mnie. Uciszyć się, moje serce! Nikt mnie nie poznaje. Nawet ja sam z trudem siebie poznaję. Joe próbuje mnie przestraszyć, tak jak resztę pasażerów. Nie udaje mu się. Niemniej udowadnia, że jego talent niszczyciela marzeń nie uległ osłabieniu ani trochę – całuje Miss Acacię, która opuszcza wagonik. Tym razem nie daję się sprowokować, nie tym razem. Teraz to ja jestem outsiderem!

Miss Acacia zaciąga się papierosem Joego. Intymność, widoczna w tym geście, wywiera na mnie takie samo wrażenie jak pocałunek. Zaledwie kilka metrów dzieli ich ode mnie. Wstrzymuję oddech.

Całuje ją znowu. Robi to tak, jakby mył naczynia, nie myśląc o tym zupełnie. Jak można całować taką dziewczynę, nie myśląc o tym? Nie mówię nic. Dajcie mi ją! Zobaczycie, ile serca ja w to włożę, niezależnie od tworzywa, z którego będzie ono zrobione! Emocje kipią we mnie, ale z całej siły powstrzymuję je głęboko w sobie.

Tony jej głosu kłują mnie w uszy jak poziomy gaz łzawiący. Czy w końcu mnie rozpozna?

Czy miałbym siłę tym razem wyznać jej prawdę? A gdyby skończyło się to źle, to czy potrafiłbym to przed nią ukryć?

Joe wraca do środka. Miss Acacia przechodzi tuż przede mną niczym małej huragan. Nuty jej perfum są mi tak zna-

ne jak stare prześcieradło pełne snów. Prawie bym zapomniał, że jest teraz żoną mojego największego wroga.

– Dzień dobry! – mówi, zauważając mnie.

Nadal mnie nie poznaje. Trzy strzępki stali osadzają się na moich ramionach. Zauważam krwiaka na jej lewym kolanie.

Startuję, nie wiedząc, jak wyląduję.

– Nadal nie nosi pani okularów, prawda?

– Tak, ale nie za bardzo lubię, kiedy zaczyna się mnie w ten sposób – mówi z łagodnym uśmiechem.

– Wiem...

– Skąd pan może wiedzieć?

„Wiem, że pokłóciliśmy się przez Joego i moją zazdrość, że wyrzuciłem swoje serce do kosza, bo źle cię kochałem, ale chciałbym nauczyć się wszystkiego od nowa, bo kocham cię najbardziej ze wszystkiego”. Oto co powinienem był powiedzieć. Te słowa przelatują mi przez myśl, kierują się w stronę ust, ale ich nie opuszczają. Zamiast tego pokastuję.

– Co pan tu robi w pizamie? Nie uciekł pan przypadkiem z jakiegoś szpitala?

Mówi do mnie czule, jakbym był starcem.

– Nie uciekłem, wyszedłem... Wyszedłem z bardzo poważnej choroby...

– Och, więc teraz trzeba panu znaleźć jakieś ubranie!

Uśmiechamy się do siebie jak dawniej. Przez chwilę wydaje mi się, że mnie rozpoznała, w każdym razie mam taką cichą nadzieję. Mówimy sobie „do zobaczenia” i wracam do pracowni Mélièsa pełen niepewności.

– Niech pan nie zwleka z wyjawieniem jej swojej tożsamości! – naciska pielęgniarka.

– Jeszcze trochę, potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby na nowo się do niej przyzwyczaić.

– Ale proszę nie zwlekać za długo... Już raz ją pan stracił, ukrywając swoją przeszłość. Niech pan nie czeka, aż znowu uderzy się głową o pański tors i odkryje, że jest tam zegar. Chyba że chce pan, abym go wyjęła raz na zawsze?

– Tak, tak zrobimy, ale poczekajmy, aż poczuję się lepiej, dobrze?

– Już czuje się pan lepiej... Chce pan, żebym obcięła panu wosy i zgoliła pańską prehistoryczną brodę?

– Nie, jeszcze nie. Nie miałyby pani przypadkiem jakiegoś starego ubrania Mélièsa, które gdzieś się wala?

Od czasu do czasu staję w jakimś kluczowym miejscu, w pobliżu pociągu widma. Dzięki temu mijamy się jakby przypadkiem. Rodzi się między nami takie samo porozumienie jak niegdyś, uśmiecham się, ale do oczu napływają mi łzy. W ciszy, jaka między nami panuje, myślę sobie, że ona wie, ale nic nie mówi. Tylko że to zupełnie nie w jej stylu.

Staram się nie niepokoić Miss Acacii. Wyciągam lekcje z mojego pierwszego miłosnego wypadku. Nadal angażuję się ogromnie, ale ból zmniejszył gwałtowność, a na pewno porywczosć.

Czuję, że znowu zaczynam manipulować rzeczywistością, ale samo to, że skryty pod nową tożsamością mogę doświadczać okruszków jej obecności, wypełnia mnie szczę-



ściem. Jednak ku mojemu przerażeniu niedługo będę musiał skończyć z moim nowym wcieleniem.

Ta mała karuzela trwa już od ponad dwóch miesięcy, a Joe zdaje się niczego nie zauważać. Teraz nawet buty Mélièsa uwierają mnie w stopy. W jego stroju wyglądam, jakbym, przebrany za magika, szedł łowić mule. Pielęgniarka Jehanne myśli, że ta metamorfoza jest skutkiem mojej długiej śpiączki. Moje kości, napięte przez trzy lata jak sprężyny, próbują odzyskać stracony czas. Nagle wszędzie na ciele pojawiają się skrzywienia. Nawet moja twarz się zmienia. Uwydatniają się szczęka i kości policzkowe.

– Oto człowiek z Cro-Mignon w swoim zupełnie nowym stroju! – rzuca do mnie Miss Acacia. – Jeszcze tylko fryzjer i prawie odnajdziemy człowieka cywilizowanego – szepcze mi dzisiaj.

– Jeśli będzie mnie pani nazywała Cro-Mignon, nigdy nie zgolę brody.

Samo jakoś tak wyszło, „dragando piano” – szepnąłby mi Méliès.

– Może ją pan zgolić, ale jeśli pan chce, nadal mogę nazywać pana Cro-Mignon...

To wielki powrót kłopotliwych momentów. Nie mogę się w nich rozsmakowywać, ale lepsze to niż zupełny brak Miss Acacji.

– Przypomina mi pan zakochanego z dawnych lat.

– Bardziej „z dawnych lat” czy bardziej „zakochanego”?

– I to, i to.

– Miał brodę?

– Nie, ale był tajemniczy tak jak pan. Wierzył w swoje kłamstwa, to znaczy w swoje marzenia. Sądziłam, że chce

w ten sposób zrobić na mnie wrażenie, ale on naprawdę w to wierzył.

– Może wierzył, a zarazem chciał zrobić na pani wrażenie!

– Może... Nie wiem. Od kilku lat nie żyje.

– Nie żyje?

– Tak, jeszcze dziś rano sadziłam kwiaty na jego grobie.

– A jeśli umarł tylko po to, żeby zrobić na pani wrażenie i żeby mu pani uwierzyła?

– Och, byłby do tego zdolny, ale nie czekałby trzech lat, żeby wrócić.

– Na co umarł?

– Nie wiadomo. Ludzie widzieli go walczącego z koniem, inni mówią, że zginął w pożarze, który sam niechcący wywołał. Obawiam się, że umarł po naszej ostatniej kłótni, straszliwej kłótni. Jedyne, co jest pewne, to to, że nie żyje, ponieważ jest pogrzebany. No i gdyby żył, byłby tu. Ze mną.

Duch z brodą, oto czym się stałem.

– Za bardzo panią kochał?

– Nigdy nie można kochać za bardzo!

– Kochał panią źle?

– Nie wiem... Ale, wie pan, rozmawianie ze mną o mojej pierwszej miłości, która nie żyje od trzech lat, to nie najlepszy sposób, żeby mnie poderwać!

– Jaki jest zatem dobry sposób, żeby panią poderwać?

– Nie podrywać mnie.

– Wiedziałem! Dlatego właśnie pani nie podrywałem!

Uśmiechnęła się.

Nie udało mi się, naprawdę mi się nie udało wyznać jej wszystkiego. Z moim starym sercem stałoby się to samo z siebie, ale teraz wszystko jest inaczej.

Wróciłem do pracowni jak wampir, który wraca do swojej trumny zawstydzony, że wgryzł się w delikatną szyję.

„Nigdy już nie będziesz taki jak kiedyś” – powiedział mi Méliès przed operacją. Żale i wyrzuty sumienia cisną się na skraju burzliwej przepaści. Zaledwie kilka miesięcy, a już mam dość życia w lżejszym trybie. Kiedy skończy się rekonwalescencja, chcę wrócić w ogień bez maski, jaką jest broda i rozczochrane włosy. Mimo że nie jestem niezadowolony z tego, że trochę urosłem, pora już skończyć z tym przebraniem na okazję odnalezienia Miss Acacii. Dziś wieczór, gdy się położę, chcę przetrząsnąć wspomnienia i sny, które wrzuciłem do kosza na namiętności. Chcę zobaczyć, co zostało z mojego starego serca, przez które się zakochałem.

Mój nowy zegar prawie wcale nie hałasuje, ale dzięki temu nie przestałem cierpieć na bezsenność. Stary odpoczywa na półce w kartonowym pudełku. Może gdybym go zreperował, wszystko byłoby jak dawniej. Nie byłoby Joego ani noża między wskazówkami. Wrócić do czasu, kiedy kochałem bez strategii, kiedy oddawałem się z opuszczoną głową bez obawy, że uderzę się o swoje marzenia. Wrócić tam! Do czasów, kiedy nie bałem się niczego, kiedy mogłem wsiąść do różowej rakiety miłości, nie zapinając pasów. Teraz jestem większy, bardziej rozsądny, ale nie mam już odwagi na wielki skok w kierunku tej, przy której zawsze będę się czuć, jakbym miał dziesięć lat. Moje stare serce, mimo że całe powyginane i poza moim ciałem, zdecydowanie bardziej niż nowe skłania mnie do marzeń. A ja zniszczyłem je

jak palant. Czym się stałem? Szalbierzem samego siebie? Transparentnym cieniem?

Chwytam kartonowe pudełko, delikatnie wyciągam zegar i stawiam go na łóżku. Opadają z niego pyłki kurzu. Wsuwam dłoń w moje stare zębatki. Natychmiast budzi się ból, a raczej wspomnienie bólu. Po nim przychodzi zadziwiające uczucie ukojenia.

Po kilku sekundach zegar zaczyna klekotać jak szkielec, który uczy się chodzić, a następnie zatrzymuje się. Czuję radość, która przenosi mnie ze szczytu wzgórza Edynburga w czułe ramiona Miss Acacii. Dwoma nitkami przyczepiam wskazówki, tak aby znalazły się na swoim dawnym miejscu, ale nie są już zbyt solidne.

Całą noc usiłuję zreperować moje stare serce z drewna, ale że marny ze mnie majsterkowicz, nie dają rady. Wczesnym rankiem podejmuję decyzję. Pójdę zobaczyć się z Miss Acacią i wyznam jej całą prawdę. Odkładam stary zegar do pudełka. Dam go tej, która stała się wielką śpiewaczką. Tym razem dam jej nie tylko klucz, dam jej całe serce, w nadziei, że będzie chciała odbudować naszą miłość.

Idę główną ulicą „Niezwykłości” jak skazaniec. Mijam Joego. Nasze spojrzenia w zwolnionym tempie spotykają się niczym w westernowym pojedynku.

Już się nie boję. Po raz pierwszy w życiu stawiam się na jego miejscu. Dziś startuję z pozycji tego, który chce odzyskać Miss Acacię, tak jak on wtedy, gdy pojawił się w pociągu widmie. Myślę o nienawiści, jaką musiał odczuwać w szkole, kiedy ciągle o niej mówiłem, podczas gdy on cier-

piął katusze z powodu jej wyjazdu. Czuję się niemalże podobny do tego wielkoluda. Patrzę, jak się oddala, aż do momentu, kiedy znika mi z pola widzenia.

Na stopniach pociągu widma pojawia się Brigitte Heim. Kiedy ją zauważam, ma fryzurę niczym miotła. Zawracam z drogi. Wygląda jak żółtawa czarownica, bije od niej samotność. Wydaje się równie samotna jak stare kamienie, którymi się posługuje, aby budować puste domy. Mógłbym spróbować porozmawiać z nią spokojnie, teraz, kiedy już mnie nie zna, ale myśl o jej głosie wypluwającym stereotypy męczy mnie.

– Chcę ci coś powiedzieć!

– Ja też!

Miss Acacia ma dar sprawiania, że moje plany nigdy nie realizują się tak, jak to sobie zamierzyłem.

– Nie chcę już, żebyśmy... Och, masz dla mnie prezent? Co jest w tym pudełku?

– Serce w tysiącu kawałków. Moje...

– Ty to masz pomysły... jak na kogoś, kto niby mnie nie podrywa!

– Zapomnij o oszuście, którego widziałas jeszcze wczoraj, teraz chcę ci wyznać całą prawdę...

– Prawda jest taka, że nie przestajesz mnie podrywać z tymi swoimi rozczochranymi włosami i przebraniem. Muszę jednak przyznać, że podoba mi się to... trochę.

Ujmuję w dłonie jej policzki. Dołączki nie straciły nic ze swojego delikatnego blasku. Dotykam ustami jej ust, nie mówiąc nic. Ich słodycz sprawia, że na chwilę zapominam

o moim planie. Zastanawiam się, czy z pudełka nie dochodzi jakiś klekot. Pocałunek się kończy, pozostaje po nim smak czerwonego pieprzu. Potem następuje drugi. Spokojniejszy, głębszy, w stylu tych, co przesywają prądem wspomnień, które są jak skarby schowane sześć stóp pod skórą. „Złodziej! Oszust!” – dzwoni w prawej części mojego mózgu. „Poczekaj! Zaraz o tym porozmawiamy!” – odpowiada ciało. Moje serce szarpie się bez opamiętania. W końcu odpuszcza cichutko i całkowicie. Czysta i prosta radość z odnalezienia jej skóry upaja mnie, mam jednak okropne uczucie, że sam sobie przygotowuję rogi. Równoczesne szczęście i cierpienie są nie do zniesienia. Zazwyczaj najpierw jestem bardzo szczęśliwy, a potem bardzo nieszczęśliwy – deszcz po pięknej pogodzie. Tymczasem w tej chwili pioruny przecinają najbardziej niebieskie niebo świata.

– Chciałam mówić pierwsza... – mówi smutno, uwalniając się z mojego uścisku. – Nie chcę cię już dłużej widywać. Dobrze wiem, że kręcimy się koło siebie od paru miesięcy, ale od bardzo dawna jestem zakochana w kimś innym. Zaczynanie nowej historii byłoby niedorzeczne, naprawdę mi przykro. Jestem nadal zakochana...

– W Joem, wiem.

– Nie, w Jacku, dawnym kochanku, o którym ci opowiadałam, którego mi czasem przypominasz.

Wielkie międzyplanetarne uczuciowe big bang wyraca do góry nogami moje emocjonalne synapsy. Łzy napływają bez uprzedzenia, ciepłe i obfite, niedające się powstrzymać.

– Przepraszam, nie chciałam cię skrzywdzić, ale już i tak wyszłam za kogoś, kogo nie kocham, nie chcę zaczynać od nowa – mówi, otaczając mnie ramieniem małego ptaszka.

Moje rzęsy chyba wypluwają tęczę. Zbieram całą odwagę, żeby wziąć do ręki paczkę zawierającą moje zegaroserce.

– Nie mogę przyjąć od ciebie prezentu. Naprawdę mi przykro. Nie komplikuj sytuacji jeszcze bardziej.

– Otwórz paczkę, to bardzo osobisty prezent; jeśli go nie weźmiesz, nie przyda się już nikomu.

Przyjmuje podarunek wyraźnie zawstydzona. Jej małe ładne palce o starannie pomalowanych paznokciach rozrywają papier. Na twarzy pojawia się lekki uśmiech. To cenny moment. Ofiarować kobiecie swojego życia w prezencie swoje prawdziwe serce to nie było co!

Potrząsa pudełkiem, robiąc minę, jakby próbowała zgadnąć, co jest w środku.

– To delikatne?

– Tak, to delikatne.

Jej zakłopotanie jest widoczne. Powoli zdejmuje wieczko pudełka. Jej dłonie zanurzają się w środku i chwytają moje stare zegaroserce. W słońcu pojawia się czubek tarczy, za nim środek i dwie przyklejone na dawne miejsce wskazówki.

Przygląda mu się. Bez słowa. Nerwowo grzebie w torebce, z której wyciąga okulary. Niezdarnie wkłada je na niezrównany mały nos. Oczy obserwują każdy detal. Obraca wskazówki w obie strony. Na okularach pojawia się para. Powoli potrząsa głową. Ręce jej drżą. Teraz są połączone z wnętrzem mojej klatki piersiowej. Ciało rejestruje ich ruchy i przetwarza je. Nie dotyka mnie. Wstrząsane nasilającym się drżeniem, zegary rezonują we mnie.

Miss Acacia odkłada spokojnie moje serce na murek, przy którym zatrzymywaliśmy się tyle razy. W końcu zwraca głowę w moją stronę.

Jej usta otwierają się i szepczą:

– Każdego dnia, chodziłam tam każdego dnia. Od trzech lat składam kwiaty na twoim cholernym grobie! Od dnia twojego pogrzebu aż do dzisiejszego ranka! Byłam tam zaledwie przed chwilą. Ale to już ostatni raz... Od teraz dla mnie nie istniejesz...

Odwraca się na dobre i powoli mija murek. Zegar mojego serca nadal leży na wierzchu, a wskazówki zwrócone są do ziemi. Spojrzenie Miss Acacii przeszywa mnie bez gniewu; naprawdę już nie istnieję. Zegar zostaje na pudełku jak smutny ptak, następnie odlatuje w niebo, którego bramy zamknęły się dla mnie na zawsze. Stukot jej kroków cichnie. Wkrótce nie będę już widział jej kształtnych pośladków toczących się jak welurowa fala. Wkrótce ruch jej długiej spódnicy zakryje nogi i zostanie już tylko lekki odgłos kroków. Jej sylwetka nie będzie większa niż dziesięć centymetrów. Dziewięć, sześć, rozmiar umarłego, który może zmieścić się w pudełku po zapalkach. Pięć, cztery, trzy, dwa...

Teraz nie zobaczę jej już nigdy.



## Epilog

Mechaniczny zegar Doktor Madeleine będzie nadal istniał poza ciałem naszego – nazwijmy go tak – bohatera.

Pierwsza zauważyła go Brigitte Heim. Na murku wyglądał jak zabawka dla umarłych. Zabrała go, żeby włączyć do kolekcji swoich dziwacznych przedmiotów. W związku z tym zegar przez pewien czas spoczywał na podłodze pociągu widna między dwoma wiekowymi czaszkami.

W dniu, kiedy Joe go rozpoznał, stracił zdolność przerażania. Pewnej nocy po pracy zdecydował, że musi się go pozbyć. Trzymając go pod pachą, udał się w kierunku cmentarza San Felipe. W przypiływie szacunku albo tylko z przesądnej obawy położył go na zaniedbanym grobie małego Jacka.

Miss Acacia opuściła „Niezwykłości” w październiku 1892 roku. Tego samego dnia zegar zniknął z cmentarza San Felipe. Joe kontynuował swoją karierę w pociągu widmie. Już do końca życia nawiedzała go myśl o stracie Miss Acacii.

Mała śpiewaczka rozwijała swój ognisty talent w kabaretach całej Europy, występując pod nazwiskiem swojej babki. Dziesięć lat później widziano ją ponoć w kinie w Paryżu na

filmie zatytułowanym *Podróż na Księżyc* autorstwa niejakiego Georges'a Mélièsa, który stał się największym prekursorem kina wszech czasów, wynalazcą absolutnym. Miss Acacia podobno spotkała się z nim na kilka minut po projekcji. Miał jej ponoć ofiarować egzemplarz *Człowieka prawdziwego...*

Tydzień później zegar owinięty w kawałek tkaniny pojawił się na schodach starego domu w Edynburgu. Mówiono, że przyniósł go tam bocian.

Leżał tak kilka godzin, aż zabrały go Anna i Luna. Z niezamieszkanego domu zrobiły sierociniec, który przyjmował nawet stare dzieci, takie jak Arthur.

Po śmierci Madeleine rdza wżarła mu się w kręgosłup. Skrzypiał przy najmniejszym ruchu. Zaczął bać się zimna i deszczu. Zegar zakończył swą podróż na stoliku nocnym obok książki włożonej do pudełka.

Jehanne d'Ancy już nigdy go nie zobaczyła, ale w końcu odnalazła drogę do serca Mélièsa. Przeżyli razem życie, prowadząc sklepik ze śmiesznymi rzeczami w pobliżu dworca Montparnasse. Wszyscy zapomnieli o wielkim Mélièsie, ale Jehanne nadal z pasją słuchała jego opowieści o człowieku z zegarem zamiast serca i różnych potworach spowitych mgłami.

Nasz „bohater” ciągle rósł, ale nigdy nie otrząsnął się po stracie Miss Acacji. Każdej nocy wychodził, żeby pokręcić się w okolicy „Niezwykłości” w cieniu baraków. Będąc jednak na wpół człowiekiem, na wpół duchem, nigdy nie wszedł do środka.

Wrócił więc po swoich śladach aż do Edynburga. Miasto było dokładnie takie jak w jego wspomnieniach, wydawało

się, że czas stanął w miejscu. Wspiął się po zboczu dokładnie tak jak wtedy, gdy był dzieckiem. Wielkie płatki śniegu nasycone wodą, ciężkie jak ciała umarłych, opadały na jego ramiona. Wiatr lizał stary wulkan od podnóża aż do szczytu, jego lodowaty jezor rozdzierał mgły. Nie był to wprawdzie najzimniejszy dzień w dziejach świata, ale prawie. Z głębi zamieci rozległ się odgłos kroków. Jackowi zdało się, że na prawym zboczu dostrzegł znajomą postać. Rozwiane przez wiatr włosy i ta lekko rysująca się znajoma sylwetka nadał się lalki. Kolejny sen, który miesza się z rzeczywistością – rzekł do siebie.

Kiedy pchnął drzwi domu swojego dzieciństwa, nie odezwał się żaden zegar Madeleine. Anna i Luna, jego wielobarwne pstrokate ciotki, miały ogromne trudności z rozpoznaniem tego, którego nie można już było nazwać małym Jackiem. Musiał zaśpiewać kilka nut *Oh When the Saints*, żeby otworzyły dla niego swoje wychudłe ramiona. Luna spokojnie przekazała mu treść pierwszego listu, który nigdy do niego nie dotarł, i wyznała mimochodem, że kolejne pisały one. Aby cisza nie rozsadziła ścian, Anna zacisnęła mocno rękę Jacka w swojej i zaprowadziła go do łóżka Arthura.

Staruszek wyznał mu sekret jego życia.

„Bez zegara Madeleine nie przeżyłbyś najzimniejszego dnia w dziejach świata. Jednakże po kilku miesiącach twoje prawdziwe serce wystarczyłoby. Mogła wyjąć zegar, tak jak zdejmowała szwy. Zresztą powinna była tak zrobić. Żadna rodzina nie miała odwagi cię adoptować z powodu tego tykania, które wydobywało się spod lewego płuca. Z czasem przywiązała się do ciebie. Dla Madeleine byłeś malutką kru-

chą istotką, którą należało chronić za wszelką cenę. Byłeś z nią złączony pępowiną zegara.

Panicznie obawiała się dnia, kiedy dorośniesz. Próbowwała regulować mechanizm twojego serca, żeby na zawsze zachować cię przy sobie. Obiecała nam przyzwyczaić się do myśli, że ty też pewnie kiedyś będziesz cierpieł z miłości, bo życie takie już jest. Nie udało się jej”.

Za dogładanie, nastawianie i cudowne podkre-  
canie zegaroserca tej ksiazki dziękuję Olivii de  
Dieuleveult i Olivii Ruiz.